W NUMERZE: ERNST FISCHER ▪ JANINA KONARSKA ▪ JEAN MARCENAC ▪ JERZY PUTRAMENT ▪ JERZY ZARUBA

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja Jaszyńskiego 16
Administracja: Jaszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 5 września 1948 r. | Nr 36 (197)

REZOLUCJA ŚWIATOWEGO KONGRESU INTELEKTUALISTÓW WE WROCŁAWIU

My, działacze kultury, nauki i sztuki z czterdziestupięciu krajów, zgromadzeni w polskim mieście Wrocławiu, zwracamy się do intelektualistów świata.

Przypominamy o śmiertelnym niebezpieczeństwie, które niedawno jeszcze groziło kulturze ludzkości. Byliśmy świadkami barbarzyństwa faszystowskiego — niszczenia zabytków historycznych i kulturalnych, prześladowania i zagłady ludzi pracy naukowej, sponiewierania wszystkich wartości duchowych, świadkami faktów, zagrażających elementarnym pojęciom sumienia, rozsądku i postępu.

Kultura ludzkości ocalona została za cenę niespotykanych dotąd ofiar dzięki ogromnemu natężeniu wszystkich sił demokratycznych — Związku Radzieckiego, narodów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dzięki bohaterskiej walce oporu narodowego w krajach zagarniętych przez faszyzm.

Jednakże wbrew woli i pragnieniom narodów świata garstka żądnych zysku ludzi w Ameryce i Europie, którzy przejęli w dziedzictwie po faszyzmie ideę wyższości rasowej i negację postępu, którzy zapożyczyli od faszyzmu tendencję do rozstrzygania wszystkich spraw siłą oręża, znowu gotuje zamach na dorobek duchowy narodów świata.

Kulturze krajów europejskich, które wniosły ogromny wkład do światowego dorobku ludzkości, grozi niebezpieczeństwo utraty oblicza narodowego.

W wielu krajach — w Grecji, Hiszpanii, krajach Ameryki Łacińskiej — wrogie postępowi siły ochraniają dawne i rozniecają nowe ogniska faszyzmu.

Wbrew rozsądkowi i sumieniu trwa nadal i nawet wzmaga się ucisk jednostek i całych narodów, które ciemięzcy nazywają kolorowymi.

Ludzie, którzy przejęli metody faszyzmu, uprawiają w swoich krajach dyskryminację rasową, prześladują wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki.

Odkrycia naukowe, które by mogły służyć dobru ludzkości, obraca się na tajną produkcję środków zniszczenia, plamiąc i podważając wysokie powołanie nauki.

Słowo i sztuka pod władzą tych ludzi zamiast oświecać i zbliżać narody, roznieca niskie namiętności i nienawiść do człowieka, toruje drogę wojnie.

Głęboko wierząc w konieczność swobodnego rozwoju i rozpowszechniania zdobyczy postępowej kultury we wszystkich krajach, w imię pokoju, postępu i przyszłości świata — protestujemy przeciwko wszelkim ograniczeniom tych swobód i podkreślamy konieczność wzajemnego porozumienia się kultur i narodów w interesie cywilizacji i pokoju.

Zdając sobie sprawę z tego, że współczesna wiedza wyzwoliła nowe potężne siły, które z całą pewnością będą użyte przez ludzkość bądź na jej dobro, bądź na szkodę — Kongres protestuje przeciw korzystaniu z nauki dla celów zniszczenia i wzywa do zmobilizowania wszystkich sił, aby szeroko rozpowszechnić wiedzę po całym świecie i zużytkować środki naukowe do szybkiego zwalczania nędzy, ciemnoty, chorób i niedostatków, od których cierpi większość ludzkości.

Kongres domaga się również zniesienia ograniczeń, które stoją na przeszkodzie swobodnemu poruszaniu się osób, służących sprawie pokoju i postępu oraz ograniczeń w ogłaszaniu i rozpowszechnianiu książek, wyników naukowych i wszystkich naukowych i kulturalnych zdobyczy służących tej samej sprawie.

Narody całego świata nie chcą wojny i mają dosyć sił, aby uchronić pokój i kulturę od zakusów nowego faszyzmu.

Intelektualiści świata!

Na nas spoczywa wysoka odpowiedzialność wobec naszych narodów, wobec ludzkości, wobec historii.

Podnosimy głos w obronie pokoju, w obronie swobodnego rozwoju kulturalnego narodów, w obronie ich niepodległości narodowej, ich ścisłej współpracy i przyjaźni.

Wzywamy wszystkich ludzi pracy umysłowej we wszystkich krajach świata do rozważenia naszych wniosków

— do zorganizowania krajowych kongresów działaczy kultury w obronie pokoju,

— do tworzenia wszędzie krajowych komitetów obrony pokoju,

— do umacniania w interesie pokoju międzynarodowych więzów łączących działaczy kultury wszystkich krajów.

PODPISALI:

Aleksander Abusch, pisarz, Niemcy; *Kazimierz Ajdukiewicz*, prof. uniwersytetu, Polska; *Helle Alexiou*, literat, Grecja; *Sibilla Aleramo*, poeta, Włochy; *Ada Alessandrini*, bibliotekarz, Włochy; *Zara Algardi*, prawnik, Włochy; *Massimo Aloisi*, prof. med., Włochy; *Mojżesz Altbauer*, slawista, Izrael; *Jorge Amado*, pisarz, Brazylia; *Enrique Amorim*, pisarz, Urugway; *Sotir Angjeli*, profesor, Albania; *Mulk Raj Anand*, redaktor, Indie; *Erzsebet Andics*, prof. historii, Węgry; *Ivo Andric*, prezes Związku Literatów, Jugosławia; *German List Arzubide*, literat, Meksyk; *Eugene Aubel*, profesor Sorbony, Francja; *Emmanuel Auricoste*, rzeźbiarz, Francja; *Jean Baby*, prof. historii, Francja; *Fernand Balle*, lekarz, Belgia; *Peter Balaban*, dziennikarz, Węgry; *Antun Barac*, prof. slawistyki, Jugosławia; *Antonio Banfi*, prof. senator, Włochy; *Umberto Barbaro*, pisarz, Włochy; *Iwan Bardin*, akademik, ZSRR; *Roberto Battaglia*, profesor, Włochy; *Maurice Bedel*, literat, prezes Związku Literatów, Francja; *Aleksander Belic*, prezes Serbskiej Akademii Nauk, Jugosławia; *Julien Benda*, literat, Francja; *B. Bernal*, profesor przyrody, W. Brytania; *Samuel Bernstein*, socjolog, St. Zjednoczone; *Ranuccio Bianchi Bandinelli*, profesor, Włochy; *P. Blackman*, literat, W. Brytania; *N. Blumental*, dyr. Żyd. Inst. Histor., Polska; *Iwan Boldizsar*, dziennikarz, Węgry; *Massimo Bontempelli*, literat, Włochy; *Jean Boulier*, ksiądz, prof. prawa, Francja; *Christo Brambarow*, artysta opery, Bułgaria; *Zora Braga*, dziennikarka, Brazylia; *Willi Bredel*, pisarz, Niemcy; *Marcel Breslasu*, poeta, Rumunia; *Leendert P. J. Braat*, rzeźbiarz, Holandia; *Jean Bruhat*, prof. historii, Francja; *Rutland Boughton*, kompozytor, W. Brytania; *Aleks Buda*, prof. historii, Albania; *C. Bugeanu*, kompozytor dyrygent, Rumunia; *Leon Buret*, inspektor szkolny, Alger; *Emil Burian*, reżyser, muzyk, Czechosłowacja; *Gustaw Butlow*, przedstawiciel Swiatowej Federacji Towarzystw Przyjaciół ONZ; *Jerzy Borejsza*, prezes „Czytelnika", literat, Polska; *Saul Carson*, pisarz, St. Zjedn; *Giorgio Caproni*, pisarz, Włochy; *Renato Caccioppoli*, prof, matematyki, Włochy; *Raul A. Cacho*, architekt, Meksyk; *Ritchie Calder*, pisarz, W. Brytania; *Suzel Campitelli*, wydawca, Włochy; *Remo Cantoni*, pisarz, Włochy; *Laurent Casanova*, publicysta, Francja; *Alberto Castiel*, dr. filozofii, Brazylia; *Honorato de Castro*, prof. astronom, Hiszpania; *Aimé Cesaire*, literat, Martynika; *Józef Chałasiński*, prof. socjologii, Polska; *Michał Charłamow*, historyk, ZSRR; *Dow Chomski*, poeta, Izrael; *Tichon Chrennikow*, kompozytor, ZSRR; *Lumir Civrny*, pisarz, Czechosłowacja; *Luigi Cosenza*, architekt, Włochy; *Maria da Costa*, biolog, Portugalia; *Eugenie Cotton*, dyr. szkoły naucz. w Sèvre, Francja; *J. G. Crowther*, profesor, publicysta, W. Brytania; *Michał Czaureli*, filmowiec, ZSRR; *Jan Czekanowski*, prof. antropologii, Polska; *Bela Czobel*, malarz, Węgry; *Carlo Cattaneo*, pisarz, Włochy; *Oskar Danon*, dyr. opery belgradzkiej, Jugosławia; *André Dawid*, literat, Francja; *Samuel Davids*, dziennikarz, Holandia; *Florence Davidson*, malarka, St. Zjedn.; *Jo Davidson*, rzeźbiarz, St. Zjedn.; *Louis Daquin*, filmowiec, Francja; *Max Deauville*, lekarz i literat, Belgia; *Jan Dembowski*, prof. biologii, Polska; *Tibor Dery*, powieściopisarz, Węgry; *Wladimir Dimitrow*, artysta, Bułgaria; *Uchomet Mahdi Djawahiri*, poeta, Irak; *Ambrogio Donini*, profesor, Włochy; *Jan Drda*, pisarz, Czechosłowacja; *Jean Dresch*, profesor geografii, Francja; *Xawery Dunikowski*, rzeźbiarz, Polska; *Richard Dupierreux*, literat, Belgia; *Clifford E. Durr*, prawnik, St. Zjedn.; *Virginia Durr*, polityk, St. Zjedn.; *Eugeniusz Eibisch*, rektor Akademii Sztuk Pięknych, Polska; *Giulio Einaudi*, wydawca, Włochy; *Hans Eisler*, kompozytor, Austria; *Paul Eluard*, literat, Francja; *Josef Engels*, prof. lingwinista, Holandia; *Ricardo Enquin*, dziennikarz, Argentyna; *Ilia Erenburg*, literat, ZSRR; *Hans Erni*, malarz, Szwajcaria; *Francisco Espinola*, pisarz, Urugway, *Aleksander Fadiejew*, literat, ZSRR; *Yves Farge*, literat, publicysta, Francja; *Monica Felton*, architekt - urbanista, W. Brytania; *Giorgio Fenoaltea*, literat, Włochy; *Piotr Fiedosiejew*, członek-korespondent Akademii Nank, ZSRR; *Tommaso Fiore*, profesor, Włochy; *Ernst Fischer*, pisarz, Austria; *Giorgio Formiggini*, literat, Włochy; *Bruno Frei*, pisarz i wydawca, Austria; *Henda da Rocha Freire*, doktór filozofii, Brazylia; *Gabor Gaal*, profesor, literat, Rumunia; *Catalino Gutterez Galindo*, Meksyk; *Pal Gedeon*, redaktor, Węgry; *Vasso Georgiu*, publicysta, Grecja; *Aleksander Gerasimow*, art. malarz, ZSRR; *Alois Gerlo*, profesor uniwersytetu, Belgia; *Jose Giral*, chemik, prof. uniwersytetu, Hiszpania; *Natalia Ginzburg*, pisarka, Włochy; *Serge Gloor*, profesor, Szwajcaria; *Louis Golding*, powieściopisarz, W. Brytania; *Fernando Lopes Graca*, kompozytor, Portugalia; *Herminia Grijo*, lekarz Portugalia; *Renato Guttuso*, dr literatury, Włochy; *Wiliam Gropper*, malarz, St. Zjedn.; *J. B. Haldane*, profesor biologii, W. Brytania; *H. S. Haldane*, W. Brytania; *Sulo Haltsonen*, bibliotekarz uniwersytetu, Finlandia; *Gyula Hay*, dramaturg, Węgry; *Geza Hegodus*, historyk i socjolog, Węgry; *Petrus Hendrix*, filolog, dyr. liceum, Holandia; *Christofer Hill*, profesor, historyk, W. Brytania; *Ludwik Hirszfeld*, profesor bakteriologii, Polska; *Jean Chochstaetter*, profesor, Szwajcaria; *Walter Hollitscher*, kierownik wydziału filozofii wiedeńskiego Instytutu Nauki i Sztuki, Austria; *Ferenc Hont*, dyr, gen. Filmu Węgierskiego, Węgry; *Jiri Hronek*, gen. dyr. prasy; *Roy Innes*, sekretarz Zw. Prac. Nauk., W. Brytania; *Ksenofon Iwanow*, profesor, Bułgaria; *Jarosław Iwaszkiewicz*, literat, prezes Zw. Literatów, Polska; *Wanda Jakubowska*, reżyser filmowy, Polska; *Zora Jesenska*, pisarka, Czechosłowacja; *Irène Joliot-Curie*, prof. fizyki, laureat Nobla. Francja; *H. Johnson*, dziekan Canterbury. W. Brytania; *Paul Kadosa*, kompozytor, Węgry; *Albert E. Kahn*, literat i dziennikarz, St. Zjedn.; *Jean Kanapa*, profesor, Francja; *Witan Keczew*, duchowny, Bułgaria; *Valentin Kiparsky*, prof. uniwersytetu, Finlandia; *Gyula Koczkas*, prof. medycyny, Węgry; *Karol Koranyi*, profesor uniwersytetu, Polska; *Aleksander Korniejczuk*, literat, ZSRR; *Donczo Kostow*, akademik, Bułgaria; *Tadeusz Kotarbiński*, prof. logiki i metodologii, Polska; *Jiri Kroha*, narodowy artysta, Czechosłowacja; *Jürgen Kuczyński*, ekonomista, Niemcy; *Stanisław Kulczyński*, rektor uniwersytetu, Polska; *Jerzy Kurylowicz*, prof. filologii indoeurop., Polska; *Freda Kirchwey*, nacz. redaktorka, St. Zjedn.; *Pierre Kokalis*, prof. uniwersytetu, Grecja; *Ernst Legal*, dyr. opery, Niemcy; *Fernand Leger*, malarz, Francja; *Tadeusz Lehr-Spławiński*, prof. filologii słow., Polska; *Sandor Lengyel*, chemik, Węgry; *Leoncillo Leonardi*, rzeźbiarz, Włochy; *Leonid Leonow*, literat, ZSRR; *Giuseppe Levi*, profesor, Włochy; *Hyman Levy*, profesor mat., W. Brytania; *Thiem Le Van*, matematyk, Viet-Nam; *Anne de Liedekerke*, rzeźbiarka, Belgia; *A. Lindsay*, teatrolog, W. Brytania; *J. Lindsay*, pisarz, W. Brytania; *Katherine Locke*, W. Brytania; *P. Long*, dziennikarz, W. Brytania; *John Lewis*, redaktor, W. Brytania; *Laszlo Lontay*, krytyk, redaktor, Węgry; *Stanisław Lorentz*, prof. historii sztuki, nacz. dyr. muzeów, Polska; *Geza Losonczy*, dziennikarz, Węgry; *B. Lubetkin*, architekt-urbanista, W. Brytania; *M. Lubetkin*, architekt-urbanista, W. Brytania; *Georgy Lukacs*, prof. filozofii, Węgry; *Josef Lukas*, prof. dr, Czechosłowacja; *Cesare Luporini*, profesor, Włochy; *René Lyr*, konserwator muzeum, Belgia; *RegineHercman-Lyr*, Belgia; *Victor Leduc*, dziennikarz, Francja; *Sergej Machonin*, pisarz i tłumacz, Czechosłowacja; *Janis Manias*, dziennikarz, Grecja; *André Mandouze*, prof. literatury, Alger; *Hans Marchwitza*, pisarz, Niemcy; *Bernard Marek*, red. „Nowego Życia", Polska; *Josef Markov*, prof. uniwersytetu, Czechosłow.; *Kingsley Martin*, redaktor, W. Brytania; *Hans Mayer*, prof. uniwersytetu, Niemcy; *Allaoua Mekdade*, stud. med., Alger; *Leopoldo Mendez*, malarz-grafik, Meksyk; *Renato Mieli*, dziennikarz, Włochy; *Iwan Mieszczaninow*, akademik, ZSRR; *Cedomir Minderovic*, sekr. gen. zw. literatów, Jugosławia; *I. Montagu*, reżyser filmowy, W. Brytania; *Felix Montiel*, prof. uniw., prawnik, Hiszpania; *Editha Morris*, literatka, St. Zjedn.; *J. V. Morris*, literat, St. Zjedn.; *Léon Moussinac*, literat, filmowiec, Francja, *Andrzej Mraz*, dziekan wydz. filozof., Czechosłowacja; *Jan Mukarovsky*, rektor uniwersytetu, Czechosłowacja; *Georgi Nadżakow*, rektor uniwersytetu, Bułgaria; *Zofia Nałkowska*, literatka, Polska; *Stefan Nicolau*, prof. med., Rumunia; *Hans Jacob Nilsen*, dyr. teatru, Norwegia; *Hakon Nord*, mgr chem., Dania; *Karel Novy*, pisarz, Czechosłowacja; *Renata de Bendetti Orengo*, dr literatury, Włochy, *Stanisław Ossowski*, prof. socjologii, Polska; *Josef Palenicek*, pianista, Czechosłow.; *Boris Palotay*, dziennikarka, Węgry; *A. Patładin*, akademik, ZSRR; *Andrzej Panufnik*, kompozytor, Polska; *Ralph Parker*, publicysta, W. Brytania; *M. Pavsic*, literat, Jugosławia; *Max Pechstein*, malarz, Niemcy, *Antonin Pelc*, karykaturzysta, Czechosłow.; *Tibor Pethö*, dziennikarz, Węgry; *Goffredo Petrassi*, kompozytor, Włochy, *Giuseppe Petronio*, literat, Włochy; *Emil Petrovici*, rektor uniwersytetu, Rumunia; *Huy Thong Pham*, profesor, literat, Viet-Nam; *Miklos Philip*, inżynier, Węgry; *Pablo Picasso*, malarz, Francja; *Roman Piotrowski*, prof. uniw., Polska; *Liubomir Pipkow*, kompozytor, Bułgaria; *Siegfried Van Praag*, literat, prezes Tow. Przyjaźni Holendersko-Polskiej, Holandia; *Vasco Prado*, rzeźbiarz, Brazylia; *E. M. Prenant*, prof. biologii, Francja; *Maria Pujmanova*. literatka, Czechosłowacja; *Wsiewołod Pudowkin*, filmowiec, ZSRR; *Salvatore Quasimodo*, poeta, Włochy; *Rakoto Ratsimamanga*, lekarz, Madagaskar; *Leonte Rautu*, publicysta, Rumunia; *Eberhard Rebling*, muzykolog, Holandia; *Karol Rebro*, prof. prawa, Czechosłow.; *Alżbeta Rebrova*, lekarz, Czechosłowacja; *John Russel*, dyr. londyńskiej orkiestry symf., W. Brytania; *Antonio Alves Redel*, literat, Portugalia; *Leonida Repaci*, pisarz, Włochy; *Vaclav Rezac*, pisarz, Czechosłow.; *J. M. Richards*, wydawca, W. Brytania; *Venceslao Roces*, prof. historii, Hiszpania; *J. Rodker*, dziennikarz, W. Brytania; *G. O. Rogge*, prawnik, St. Zjedn.; *Michail Roller*, pisarz, historyk, Rumunia; *John D. Roop*, duchowny i pisarz, St. Zjedn.; *L. Rosenfeld*, prof. fizyki, W. Brytania; *Gastone Rossi-Doria*, prof. muzyki, Włochy; *Claudio Santoro*, kompozytor, Brazylia; *Zihni Sako*, literat, Albania; *Wurgun Samed*, literat, ZSRR; *Todor Samodunow*, poseł, Bułgaria; *Joseph Van Santen*, ekonomista, Holandia; *Joao Dos Santos*, lekarz psychiatra, Portugalia; *Kresto Sarafow*, artysta, Bułgaria, *Erik Saudek*, pisarz i tłumacz, Czechosłowacja; *Hans Scharoun*, architekt, Niemcy; *Mario Schenberg*, profesor, Brazylia; *Ana Stela Schic*, pianistka, Brazylia; *A. D. Schoeneberg*, dziennikarz, Holandia; *Carlos Scliar*, malarz, Brazylia; *Anna Seghers*, literatka, Niemcy; *Pierre Seghers*, wydawca, Francja; *Traian Selmaru*, krytyk artystyczny, Rumunia; *Emilio Sereni*, ekonomista, Włochy; *Isabelle Shugars*, St. Zjedn; *M. de Silva*, architekt, Ceylon; *G. E. de Silva*, b. minister zdrowia, Ceylon; *Elvi Sinervo*, pisarka, Finlandia; *Aloys Skoumal*, pisarz, Czechosłow.; *Joseph Skupa*, aktor, Czechosłow.; *Antoni Słonimski*, literat i publicysta, Polska; *Mario Socrate*, pisarz, Włochy; *Foto Stamo*, malarz, Albania, *Zaharia Stancu*, literat, Rumunia; *Andrija Stampar*, prezes Akademii Nauk, Jugosławia; *Olaf Stapledon*, powieściopisarz, W. Brytania; *Joseph Starobin*, publicysta, St. Zjedn.; *Anton Stefanek*, rektor uniwersytetu, Czechosłowaija, *B. Stevens*, kompozytor, W. Brytania; *Donald O. Stewart*, literat, St. Zjedn.; *Marika Stiernstdet*, powieściopisarka, Szwecja; *Simion Stoilow*, prof. matematyki, Rumunia; *Liudmił Stojanow*, pisarz, Bułgaria; Ladislaw Stoll, pisarz, Czechosłow.; *Franciszek Strynkiewicz*, rzeźbiarz, Polska; *Juri Suhl*, pisarz, St. Zjedn.; *Ping Sung*, pisarz, Chiny; *R. L. Synge*, biochemik, W. Brytania; *Helena Syrkus*, inż. architekt, Polska; *Michał Szołochow*, literat, ZSRR, *Ferenc Szabo*, kompozytor, Węgry; *Eugeniusz Tarle*, historyk, akademik, ZSRR, *Jean Felix Tchicaya*, profesor, Afryka francuska; *Herman Thiery*, powieściopisarz, Belgia; *Feliks Topolski*, malarz, W. Brytania; *Henriette Van Traa*, dziennikarka, Holandia; *Frantisek Travnicek*, rektor uniwersytetu, Czechosłow.; *Ernesto Treccani*, pisarz, Włochy; *Jirina Tumova*, pisarka, Czechosłowacja; *Giulio Turcato*, malarz, Włochy, *Zade Tursun*, literat, ZSRR; *Roger Vailland*, literat, Francja; *Manuel Valadares*, fizyk, Portugalia; *Alfredo Varela*, literat, Argentyna, *Mark Vedres*, rzeźbiarz, Węgry; *Vercors (Jean Bruller)*, literat, Francja; *Elio Vittorini*, pisarz, Włochy; Theun de *Vries*, pisarz, Holandia; *C. H. Waddington*, biolog, W. Brytania; *Henri Wallon*, psycholog, Francja; *Antonas Wenclowa*, literat, ZSRR, *A. G. Weidenfeld*, redaktor, W. Brytania; *W. F. Wertheim*, prof. socjologii, Holandia; *Marcel Willard*, adwokat, Francja; *Ella Winter*, literatka, St. Zjedn.; *Zygmunt Wojciechowski*, prof. prawa, Polska; *Karl Wolff*, prof. prawa, Austria; *Nora Wooster*, prof. krystalografii, W. Brytania; *W. A. Wooster*, prof. krystalografii, W. Brytania; *Wen-Tao Wu*, dziennikarz, Chiny; *Hilmar Wulff*, pisarz, Dania; *Jean Wyart*, prof. mineralogii, Francja; *Kazimierz Wyka*, literat, Polska; *Chun-Chien-Yeh*, pisarz, Chiny; *Dawid Zasławski*, literat, ZSRR; *Jerzy Zawieyski*, literat, Polska; *Stefan Żółkiewski*, literat, Polska.

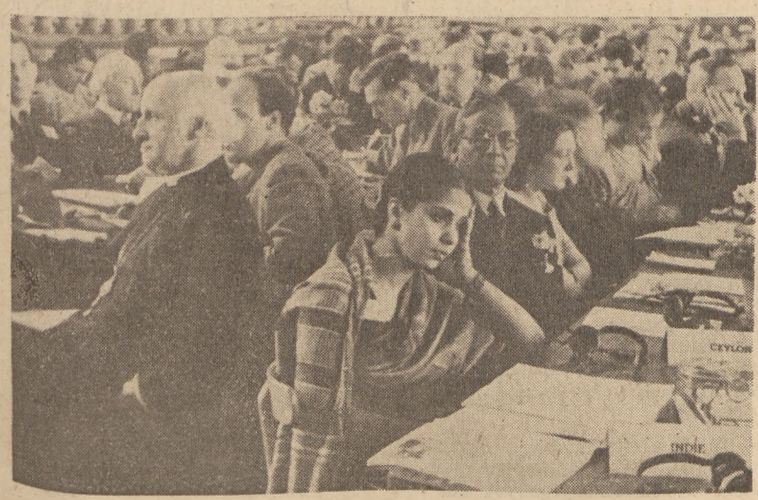

Ogólny widok sali obrad

Pablo Picasso w rozmowie z [illegible], Jo Davidsonem i Mulk R. Anandem delegatem Indij

AKADEMIA LEKARSKA W GDAŃSKU

Irena Joliot-Curie

ERNST FISCHER

O wolność narodów

(Przemówienie na Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu)

Na podziwu godnej polskiej wystawie ujrzeliśmy z najgłębszym wstrząsem Chrystusa: upiorne fragmenty krucyfiksu z czasów terroru hitlerowskiego — dwie ręce i nic poza tym. Ani głowy, ani twarzy, ani ciała — nic, tylko dwie ręce, które wyciągają się w pustkę, jak gdyby pragnęły ratować to, co ludzkie. Ilu mężczyzn ile kobiet, ile ludzi mózgu we wszystkich krajach świata możnaby porównać z tym fantastycznym torsem człowieka! Ludzie, którzy stracili wszelki związek ze sobą, i są tylko fragmentami, tylko rękami, które sięgają w tym wytrąconym z zawiasów świecie po jakiekolwiek oparcie. Mam na myśli przede wszystkim masy intelektualistów w krajach tak zwanego planu Marshalla, to znaczy tych krajach, które nie realizują planu odbudowy o własnych siłach, lecz poddają się amerykańskiemu imperializmowi.

Narody pragną pokoju, razem z nimi pragną go wszyscy prawie intelektualiści. Ale zdecydowana walka o pokój nie jest możliwa bez zdecydowanej walki z imperializmem. Każdy intelektualista staje na wielkim rozdrożu; nikt — czy kto tego chce, czy nie — nie może uciec przed decyzją: czy walczyć o pokój o ratowanie ludzkości, czy walczyć po tamtej stronie.

Walka o pokój byłaby względnie prosta, gdyby wszyscy ludzie uczciwi znaleźli się w obozie przeciwimperialistycznym, a tylko ludzie nieuczciwi w obozie imperialistycznym. Ale niestety, sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie można zbyć uczuciem wstrętu tych intelektualistów, którzy świadomie i otwarcie trwają po stronie imperializmu i którzy dochodzą do tego stopnia poniżenia, że stają się jego pachołkami. I nie można potępić tych wszystkich intelektualistów, którzy istotnie popierają imperializm, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Oni są bowiem przekonani o swej uczciwości i jasną decyzję uważają za niegodną intelektualisty. Są to ludzie, którzy mają na podorędziu tysiąc pseudomoralistycznych i pseudofilozoficznych argumentów, którymi wymigują się przed zajęciem określonego stanowiska. I właśnie dlatego są to najbardziej użyteczne rezerwy imperializmu. Imperializm musi mieć w odwodzie prócz bandy najemników aktywnych i zdolnych do każdej zbrodni także, a może przede wszystkim, sforę eunuchów, niby to uczciwych i przyzwoitych, by urabiać tłum dla swych planów. I to właśnie jest najbardziej niepokojącym objawem dnia dzisiejszego: ów masowy eunuchizm intelektualny, ów polityczny i społeczny pociąg do autokastracji. Wielu intelektualistów uważa, że właściwą cechą intelektualisty jest niemęski, przeczulony indywidualizm; tworzą oni sobie swój osobliwy światopogląd znużenia, trwożliwości i wiecznego „tędy — czy owędy?" Ten właśnie typ intelektualisty nie mówi ani „tak", ani „nie", gdyż sądzi, że istotą spraw jest różnorodność barw, półtonów, niuansów, irracjonalne skomplikowanie życia indywidualnego. Orędownikom tego subtelnego indywidualizmu należy przeciwstawić dwa argumenty.

Po pierwsze: wszyscy ci indywidualiści z ich mnogimi wątpliwościami, z ich obawą zajęcia zdecydowanego stanowiska są bardzo do siebie podobni. I właśnie to, co ma ich odróżnić od homo vulgaris, jest ich cechą wspólną tak dalece, że można z góry całkowicie przewidzieć, w jaki sposób zachowa się taki indywidualista w sytuacji, która domaga się jasnej decyzji. Z regularnością automatu unikają wszystkiego, co mogłoby wprowadzić istotny rozdźwięk między nimi a światem imperialistycznym; starają się reagować nie jako jednostki, lecz jako elementy składowe społeczeństwa. Ich indywidualność jest standaryzowana, jest produktem masowym. Oto pierwszy zarzut, jaki stawiamy tym niezdecydowanym z zasady. Drugi brzmi następująco: każda tak zwana droga pośrednia, każde pozorne uchylanie się od walki imperializmu z antyimperializmem jest drogą prowadzącą wprost do obozu imperialistów! Osobliwy światopogląd, który nie chce widzieć różnicy między imperializmem a jego przeciwnikiem, pozorna obiektywność, która spostrzega niedociągnięcia po tej i po tamtej stronie, usprawiedliwiająca tym swój brak decyzji, wspomaga imperialistycznych spekulantów wojennych. I ta pozorna obiektywność twierdzi, że zachód słońca fenomenologicznie niczym nie różni się od wschodu, bo fakt, że po zachodzie następuje mrok, a po wschodzie nowy dzień, jest dla tych krytycznych obserwatorów absolutnie względny.

Otóż uważam, że zadaniem naszych, zadaniem postępowych i aktywnych intelektualistów, mających odwagę stanąć jawnie i niedwuznacznie po stronie antyimperialistycznej — jest przede wszystkim: uświadomić szeregi w gruncie uczciwych, ale sparaliżowanych przesądami i trwogą indywidualistów, że sprawują się jak godne pogardy eunuchy i to za równo pod względem politycznym jak i społecznym. W tym miejscu poproszę tych niecierpliwych przyjaciół, którzy lubią walić pięścią w stół, by przez chwilę zastanowili się nad psychiką ludzi znużonych, niepewnych, bojaźliwych, którzy chwytają się swej osobistej wolności, niby tonący brzytwy — którzy dzisiaj jeszcze nie potrafią zrozumieć, że w świecie imperialistycznym wolność osobista stała się pustym frazesem i nędznym kłamstwem — i że człowiek wówczas dopiero staje się prawdziwie wolny, kiedy ma odwagę walczyć o wolność i pokój narodów. Mam wrażenie, że w dyskusjach zwolennicy antyimperializmu często zapominają o troskach i zwątpieniach ludzi w gruncie uczciwych, ale jeszcze niedojrzałych miast zastanowić się nad ich problematami nawet wtedy, gdy te problematy wydają się nam błahe, czy wprost upiorne! Przeciwnika nieuczciwego zwalczymy tym łatwiej, im rychlej odsuniemy go od ludzi uczciwych, którzy w swym niezdecydowaniu tworzą jego rezerwy. I nie zapominajmy o tym, że imperializm, niestety, wywiera dzisiaj jeszcze, mniejszy czy większy, wpływ na ludzi uczciwych.

A teraz kilka słów na temat sloganu, za pomocą którego pachołki amerykańskiego imperializmu tumanią ludzi uczciwych; mam na myśli frazes o „Stanach Świata". Nasz przyjaciel Georg Lukacs nazwał to swego rodzaju fetyszyzmem. Nawet niezbyt sprytny człowiek spostrzeże, że to, co proponuje w sprawie „Stanów Świata" Revesz w swej „Anatomii pokoju", jest niczym innym jak tylko zamaskowanym imperializmem Ameryki. Chodzi po prostu o to, by obecną większość UNO przemienić w dyktaturę światową St. Ameryki i jej satelitów — i by każdą opozycję przeciwko imperializmowi zniweczyć siłą. Z całego serca błagam uczciwych, lecz zbyt romantycznych intelektualistów, którzy nie przeczuwają w tym wszystkim perfidii amerykańskiej, by zaczęli służyć raczej sprawie bardziej prostej i bliskiej.

Dzisiaj, w trzy lata po zgnębieniu Niemiec Hitlera i ich sojuszników, w wielu krajach znajdują się obce wojska i to samo już wystarczy, by niepokoić narody i podsycać plotki o trzeciej wojnie. My, Austriacy widzimy z bliska, co to znaczy okupacja czterech mocarstw, jaką psychozę wojenną wytwarza stan ten i jak podnieca tych, którzy sprzysięgli się przeciwko pokojowi. W dniu pierwszego maja amerykańskie tanki i armaty defilowały przez ośrodki przemysłowe, amerykańscy żołnierze z bagnetem na broni maszerowali wzdłuż osiedli robotniczych, a tuż przy boku mówców austriackich ustawili się amerykańscy żandarmi i demonstracyjnie pozdrawiali kajdankami. Tak w tym roku wyglądał austriacki Pierwszy Maja. Oczywiście musiało to wśród zastraszonej ludności wywołać panikę wojenną. A to był przecież tylko przedsmak „Stanów Świata" pod hegemonią amerykańskiego imperializmu.

To też proponujemy, by intelektualiści, walczący o pokój, starali się z największą energią o najszybszy powrót wszystkich obcych wojsk do swej ojczyzny. Razem z ich zniknięciem z obcych terytoriów zniknie ze świata wiele trwogi i agitatorzy wojenni będą zmuszeni zamilknąć. Nie z jakichś legendarnych „Stanów Świata" zrodzi się pokój i odnowi się ludzkość, lecz z wolności narodów.

Ernst Fischer

ILIA ERENBURG

Czy Kultura Zachodnia?

(Przemówienie na Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu)

Zabierając tu głos, przypominam sobie mimowoli międzynarodowy Kongres Pisarzy w Obronie Kultury, który obradował w Paryżu przed 13 laty. Pisarze radzieccy, a wraz z nimi czołowi pisarze świata, mówili wówczas głośno o niebezpieczeństwie, jakie grozi kulturze. Wypadki, które zaszły kilka lat później potwierdziły te groźne przepowiednie. Zagłada dziesiątków milionów ludzi, wśród których wielu było geniuszów, jeszcze nie odkrytych, uniwersytety zamienione na stajnie i karczmy, spalone księgozbiory, ruiny najstarszych i najpiękniejszych miast — Nowgorodu i Rouen, Peruggii i Norymbergi, mogiły Wanczury, Boya-Żeleńskiego, Garcii Lorki, Maksa Jacoba i innych — oto rezultat lekkomyślności, z jaką wielu ludzi Zachodu potraktowało w swoim czasie przestrogi ludzi postępu.

Tani fajerwerk pomonachijski był opłacony długimi latami przygnębiającej ciemności, a choć zaciemnianie miast ustało po wojnie — po dzień dzisiejszy trwa ono w umysłach milionów ludzi.

Podczas gdy faszyzm przygotowywał się do swojej zbrodniczej działalności, francuski pisarz Drieux la Rochelle, wahający się jeszcze w wyborze drogi, wyznał: „To, co było życiem, nie przedstawia absolutnie niczego interesującego. Niepodobna dalej doznawać, ponieważ nie ma nic więcej do doznawania". Odpowiedzi udzielił mu nieznany nikomu nauczyciel z Uralu, który napisał do mnie: „Zapytajcie Drieux la Rochelle, jaki zły duch podszepnął mu podobne głupstwo. Powiedzcie mu przy tej okazji, że pewien człowiek, członek wielomilionowej społeczności naszego kraju, nie bez powodzenia starającej się przekształcić życie starego świata na nowe, uroczyście zapewnia go, że owo stare życie nie jest pozbawione „absolutnych" wartości i że wbrew jego chorym pojęciom istnieją jeszcze nietknięte pokłady doznań milionów ludzi, którzy stoją wobec niezmierzonych jeszcze możliwości. Powiedzcie mu także, że jego oponent z dalekiego Uralu sądzi, iż świadomość ludzka przygotowuje się dopiero do wypełnienia swej wielkiej historycznej roli. Zadaniem jego jest przełożyć na język nowy, wyzwolony z więzów dogmatyzmu i dostosowany do nowego życia, te wszystkie najgłębsze uczucia, do których należą miłość, nienawiść, męstwo, ofiarność itd".

List ten nosi datę 1932 r. W dziesięć lat później pisarz Drieux la Rochelle stał się jednym z apostołów faszyzmu, sławiąc ludzi, którzy „wyzwolili" naród francuski od dotychczasowych doznań, sławił ludzi, którzy „oswobodzili" Francję od Francuzów. Nie znam co prawda dalszych losów uralskiego nauczyciela, jest jednak zupełnie prawdopodobne, iż bił się on pod Stalingradem i własną krwią okupił ocalenie kultury, świadomości i człowieczeństwa.

Przypomniałem ten stary spór dlatego, że trwa on nadal. Jakkolwiek nasi nieprzyjaciele chętnie ukrywają swoje nikczemne zakusy pod płaszczykiem górnolotnej frazeologii, okazują się w rzeczywistości takimi samymi abnegatami, wrogami kultury i życia, jak Drieux la Rochelle.

Drieux la Rochelle w obliczu katastrofy III Rzeszy popełnił samobójstwo ,podczas gdy ci, którzy się z nim solidaryzowali, żyją sobie nadal zdrowo, ponieważ losy swoje wiązali nie z którąś z odmian wstecznictwa, lecz z wstecznictwem, jako takim. Nie potrzebują odbierać sobie życia — wystarczyło, że przyswoili sobie kilka nowych terminów.

Myślę, że jednym z najdonioślejszych zadań postępowej inteligencji jest demaskowanie tych ludzi, którzy szykując się do barbarzyńskiej wojny, mówią o obronie „kultury zachodniej".

Wystarczy przyjrzeć się, z kim ci panowie pragną bronić kultury zachodniej, aby przejrzeć ich istotne zamiary. Pragną bronić kultury zachodniej wespół z gen. Franco, z katami, którzy zalewają krwią Grecję, z hitlerowcami z Zagłębia Ruhry, z włoskimi neofaszystami, którzy targnęli się na życie Togliattiego, z ludźmi, którzy pakują do więzień pisarzy amerykańskich, z handlarzami niewolników z Alabamy, ze zwolennikami lynchu z Missisipi, z dzikusami z Tennesee, którzy teorię ewolucji pragną zastąpić żebrem Adama, z przefarbowanymi petainowcami, z jezuitami, z janczarami tureckimi, z awanturnikami w rodzaju Glubb Paszy, z pogromcami Vietnamu i Indonezji, z pierwszym lepszym gestapowcem, który potrafił na czas ocenić wyższość, jeżeli nie „zachodniej kultury", to zachodniej waluty.

Panowie ci zapewniają, że należy ratować kulturę zachodnią przed Związkiem Radzieckim. Niektórzy wolą mówić o obronie kultury europejskiej, najgorliwsi zaś wymyślili sobie kulturę atlantycką.

Zajmijmy się nią. Definicja dosyć elastyczna. Pod terminem „kultura atlantycka" jej wynalazcy pojmują kulturę Ameryki i tych krajów europejskich, które leżą nad Atlantykiem (co prawda terminu tego nie przestrzegają zbyt ściśle, zaliczają bowiem tutaj chętnie także Włochy, leżące nad Morzem Śródziemnym, Zachodnie Niemcy z widokiem na Ren, Grecję, a nawet czasami i azjatycką Turcję). Czym wyraża się jedność kultury Paryża i Detroit? Czyżby tym, że ludność Stanów Zjednoczonych rekrutuje się przeważnie spośród wychodźców z krajów zachodniej Europy? Jeżeli tak — to do „atlantyckiej kultury" zaliczyć należało by także i Australijczyków oraz gnębicieli niewolników w Południowej Afryce. Czyżby jedność ta wyrażała się w podobieństwie warunków bytu, zwyczajów, gustów i pojęć? Wszak każdy, kto był w Stanach Zjednoczonych, wie, że jest to całkowicie odrębny świat, iż łatwiej było by Francuzowi zrozumieć mieszkańca Fragi czy Warszawy, niż człowieka z Chicago lub Jackson. Amerykańskie książki i filmy (mam na myśli dobre filmy i książki amerykańskie, a nie makulaturę, którą zarzucana jest Europa) uderzają swoją głęboką odrębnością w stosunku do angielskich książek, czy francuskich filmów. Nie neguję oczywiście istnienia więzów łączących kulturę francuską i amerykańską, ale czyż nie istnieją takież więzy między kulturą francuską i rosyjską — czy nie silniejsze?

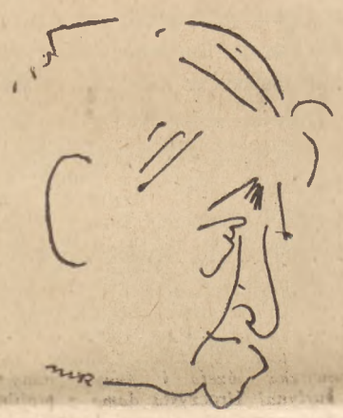

rys. Marek Rudnicki

Ilja Erenburg

Przejdźmy do drugiego określenia: „kultura europejska". Wykazuje ono zupełne lekceważenie historii i geografii, albowiem Moskwę można uważać za stolicę Europy z równym powodzeniem jak Paryż, a już na pewno nie Waszyngton.

Zatrzymam się dłużej przy terminie najbardziej rozpowszechnionym — kultura zachodnia. Czy można ją przeciwstawić rosyjskiej, jako — powiedzmy — „wschodniej". Historycznie biorąc, to absurd, wspólnota była żywa i organiczna.

Od najdawniejszych czasów postępowa Rosja była natchnieniem dla postępowej Francji, Polski, czy Włoch, była źródłem zapału, porywów i idei. Bynajmniej nie jestem skłonny negować tych wielkich skarbów kultury, które wydały narody Europy zachodniej. Zapytam jednak obrońców „zachodniej kultury", jak wyglądałaby literatura Francji, Anglii, czy Stanów Zjednoczonych, gdyby w drugiej połowie XIX stulecia nie ukazała się klasyczna powieść rosyjska, gdyby nie było Tołstoja i Dostojewskiego, Turgeniewa i Czechowa?

A muzyka? Czyż można sobie wyobrazić historię muzyki Zachodu, przemilczając imiona Czajkowskiego i Mussorgskiego? Wszystkim wiadomo, że korzenie kultury rosyjskiej, jak i kultury każdego z narodów europejskich tkwią w glebie helleńskiej. A czyż Bizancjum było gorszym przewodnikiem, niż Rzym? Wszak Andrzeja Rublowa można zaliczyć na równi z Giottem do najwybitniejszych przedstawicieli wczesnego Odrodzenia. Można by mnożyć liczbę przykładów, wymieniając choćby Herzena, który podczas pobytu w Londynie skupił wokół siebie postępowe osobistości Zachodu, czy też Czernyszewskiego, można by wspomnieć o roli nauki rosyjskiej, wydaje mi się jednak, że to, co powiedziałem, wystarczy, żeby zdemaskować hipokrytów i nieuków, którzy pragnęliby przedstawić kulturę rosyjską jako obcą, a nawet wrogą kulturze narodów zachodnich.

Być może, iż odróżnianie t.zw. kultury zachodniej od innej dotyczyć powinno nie Rosji carskiej, tylko radzieckiej, ludowej? Ale któż był przyjacielem Romain Rollanda, mistrzem wielu pisarzy zachodnio - europejskich i amerykańskich, jeśli nie Maksym Gorkij? Młoda literatura radziecka wielu rzeczy nauczyła pisarzy wielu krajów — przede wszystkim nowego podejścia człowieka do pracy, do twórczości. Poezja jest nieprzekładalna, a przecież Majakowski swymi wielkimi krokami obszedł cały świat i nie ma dziś prawdziwego poety, czy to będzie Aragon czy Pablo Neruda, Tuwim czy Nezval, którzy nie czerpaliby natchnienia z drogi poetyckiej i drogi życia wielkiego poety radzieckiego. Czyż trzeba przypominać ów rejs, jaki odbył przez cały świat „Pancernik Potiomkin"? Po wojnie Europa i Ameryka zdumione były nieoczekiwanym rozkwitem kinematografii włoskiej. Ale ktokolwiek widział „Rzym — miasto otwarte", lub „Sciuscia", ten wie, że nie było by tych obrazów, gdyby nie poprzedziły ich prace twórców kinematorgrafii radzieckiej: Eisensteina, Pudowkina, Dobrzenki.

To tylko drobny szczegół z ogromnego zakresu. Ilekroć plantator bawełny z nad Missisipi lub watykański jezuita próbuje odgrodzić „kulturę zachodnią" od Związku Radzieckiego, oznacza to chęć odgrodzenia swoich niewolników i więźniów od kontaktu z jakąkolwiek kulturą — amerykańską, włoską, czy francuską.

Tak. Wstecznicy usiłują obronić „kulturę zachodnią" nie tylko przed nami, lecz i przed własnymi narodami, przed postępowymi umysłami własnych krajów. Obraz, jaki widzimy, jest zgoła egzotyczny: francuskie wydania gazet amerykańskich usiłują obronić „kulturę zachodnią" przed Aragonem i Eluardem, Joliot-Curie i Picassem, kwiatem inteligencji francuskiej. Obskurant Thomas, senator Stanów Zjednoczonych, broni „kultury zachodniej" przed Chaplinem, Fastem, Maltzem, Robsonem. Wystarczyło, ażeby Mikołajczyk przeniósł się do Ameryki, by Polska w oczach obrońców „kultury zachodniej" nieoczekiwanie stała się Dalekim Wschodem. Uniwersytet Praski przekształcił się w coś szczególnie azjatyckiego z chwilą, gdy naród czechosłowacki ukrócił „zachodnią" działalność kilku dywersantów.

Uważając słowa „zachodni", imperialiści mają na myśli świat dolara i przedwojennej histerii, nieograniczonych zysków i niewolniczej pracy. Wszystko, co przeciwstawia się ich zamiarom, ogłaszane jest jako groźne dla „kultury zachodniej". Czytając ich gazety wydaje się, że we Francji mieszkało zaledwie kilku zachodnio-europejczyków, jak np. Paul Reynaud, gen. de Gaulle, Jules Romains, Montherland, a oprócz tego 15 milionów „wschodnich" Francuzów, z najwybitniejszymi uczonymi, pisarzami i artystami na czele, którzy w jakiś niezrozumiały sposób zakradli się do tego kraju.

Musimy demaskować obłudę tych inteligentów, którzy służą dolarowi i jedni mirrą, inni bardziej umownym kadzidłem poetyckim osłaniają krzątaninę rozmaitych „atomowców". Musimy powiedzieć wszystkim uczciwym inteligentom świata, że w walce między światłem i ciemnością, między wiedzą i ślepotą, między braterstwem narodów i wojną nie ma i nie może być neutralności. Kulturze istotnie grozi niebezpieczeństwo, ale nie kulturze wschodniej, czy zachodniej, tylko kulturze ludzkości w ogóle. Niebezpieczeństwo płynie właśnie ze strony tych, którzy mówią o ratowaniu „kultury zachodniej". I muzy powinny mówić pełnym głosem po to, aby nie przemówiły działa.

Na czele obskuranckiej agresji stoją dzisiejsi władcy Stanów Zjednoczonych. Ich akcji sprzyja młoda historia tego państwa, hipertro-

(Dokończenie na str. 3.)

Przemawia delegat Vietnamu

UCZESTNICY KONGRESU W KARYKATURZE JANA LENICY

Fernand Léger

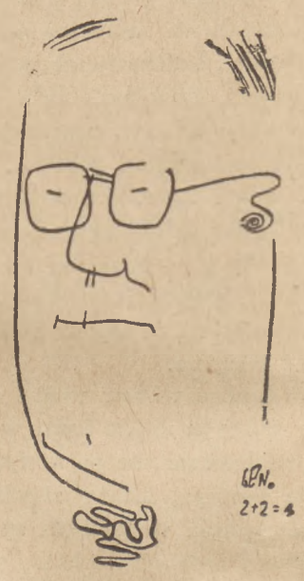

Wacław Sierpiński

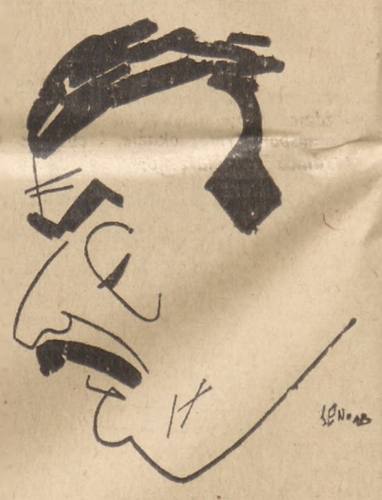

Emil Burian

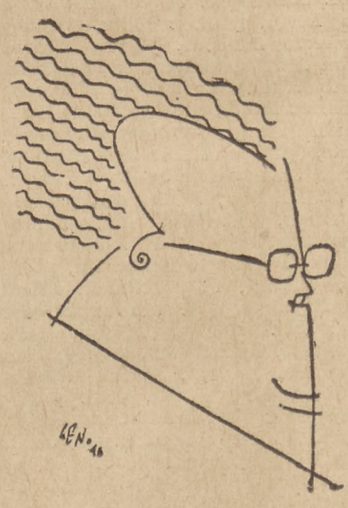

Jan Drda

Jerzy Zawieyski

JANINA KONARSKA

PRZY STOLE KONGRESOWICZÓW

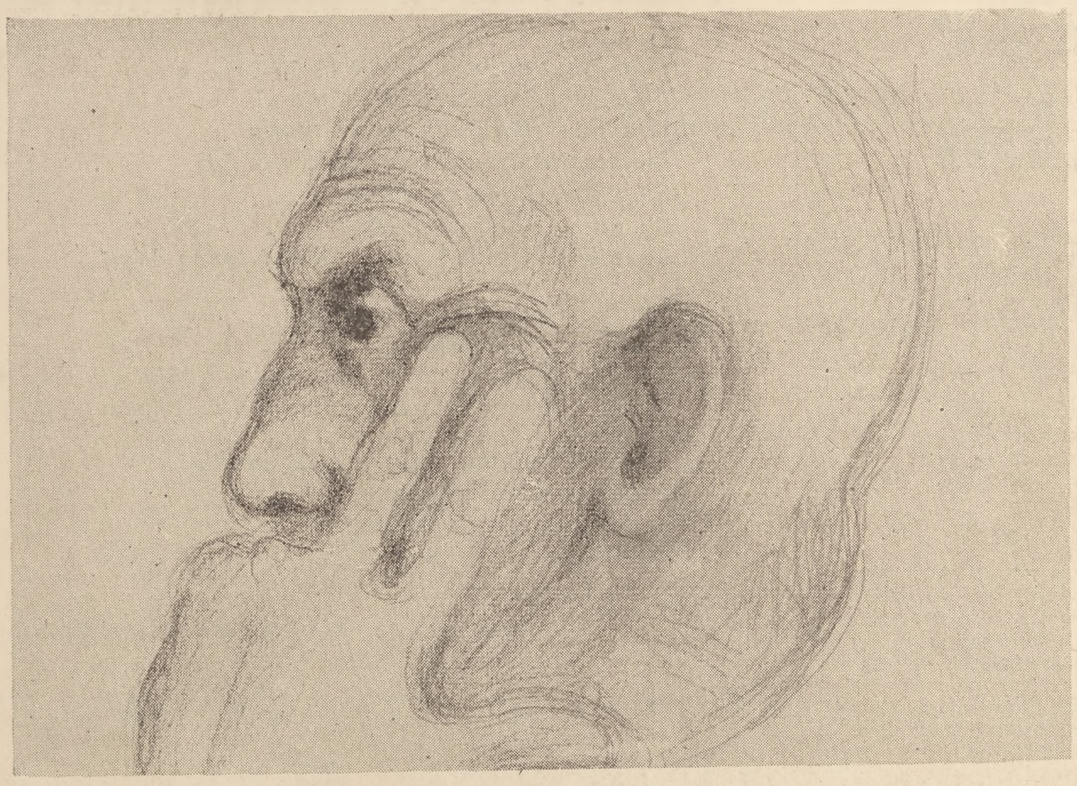

Pablo Picasso

Hyman Levy
I. Montagu

H. Johnson

Sir John Boyd Orr

(Dokończenie ze str. 2)

fia techniki — bez jednoczesnego harmonijnego rozwoju człowieka — tradycje rasistowskie, izolacjonizm duchowy, a zatem nieznajomość i niezrozumienie innego świata. Barbarzyństwo po tamtej stronie oceanu odnosi co dzień nowe zwycięstwa. Myślę, że tzw. Komisja dla Badania Działalności Antyamerykańskiej nie wiele się różni od urzędów Goebbelsa. Wystarczy przypomnieć, jak to przewodniczący tej Komisji poważnie dopytywał się, czy dramaturg Morlau nie jest komunistą. Niech stara Europa przypatrzy się uważniej senatorowi Thomasowi, prawodawcy Mundtowi, ludziom, którzy podają się za obrońców „kultury zachodniej", a którzy w szybkim tempie spychają własny kraj w otchłań despotyzmu i ciemnoty.

Zaprawdę, kulturze wielu narodów europejskich istotnie grozi niebezpieczeństwo nowego najazdu barbarzyńców. Daleki jestem od wszelkiego szowinizmu, wiem, że w Ameryce jest wielu dobrych, wartościowych ludzi — znakomici uczeni, pisarze i architekci. Ale z wyprawą na Europę ciągną nie oni, lecz najlichsi przedstawiciele amerykańskiej inteligencji. Można szanować duchowe wartości Ameryki, odrzucając dzikość plantatorów południa, ubóstwo wewnętrzne mr. Babbitta, kult dolara, nienawiść rasową.

Jankesi opanowują kraje zachodniej Europy, ale przynoszą ze sobą nie Einsteina, Faulknera, Fasta, Hemingwaya, Chaplina, lecz standartowe powieści kryminalne, filmy gangsterskie, słowem coś w rodzaju opium. Pragną uśpić Europę, aby ją tym łatwiej obezwładnić. Jest to zamach na rodzime oblicza narodów, na ich swoistość i różnorodność.

Mówiłem, że nie można kochać przeszłości, nie kochając przyszłości. Powiem więcej, nie można kochać własnego narodu, jeśli nie kocha się innych narodów, i nie można zrozumieć innych narodów, jeśli się nie kocha własnego.

Amerykanie dążą do zniszczenia oblicza kulturalnego narodów, które dostały się pod ich stopę. Nieproszeni opiekunowie usiłują wychowywać Paryż, Londyn i Rzym. Jakże straszny to obraz! Pan się bawi, jest nacjonalistą i zalicza siebie do wyższej rasy, siebie jedynego. Jego lokaje, do niedawna uważający się za „integralnych nacjonalistów", zaciągnęli się w służbę kosmopolityzmu, a uznając nad sobą jednego tylko pana — czerpią z jednego mieszka.

Również „Stany Zjednoczone Europy" o których tak głośno ostatnio, to nie zjednoczenie narodów, lecz związek zawodowy dworaków, ekonomów i sługusów, przymusowa solidarność czeladzi. Nacjonalistyczno - kosmopolitycznemu czadowi musimy przeciwstawić nasz patriotyzm i nasz internacjonalizm.

Każdy człowiek, znający życie kulturalne Związku Radzieckiego, wie, jak bardzo jest ono różnorodne. Idea braterstwa nie zaciera indywidualnych cech poszczególnych członków tej wielkiej rodziny narodów. Żywimy głęboki szacunek dla geniuszu narodów obcych. Znane nam są oryginalność, romantyzm, rycerski duch i urok kobiecy, które cechują polską sztukę Mickiewicza, Słowackiego, Chopina. Jesteśmy zadowoleni, że rozumiemy się z Polakami i podoba nam się ich rodzima polska kultura. To samo mógłbym powiedzieć i o innych narodach. Istnienie p. Jules Mogue'a nie może nam wszak kazać zapomnieć o geniuszu francuskiego narodu, o Francji Rimbauda, Courbeta, Pasteura i Zoli. Tryumf niewiernych Tomaszów nie zakryje przed naszymi oczami pracowitości, uzdolnień i dobroci amerykańskiego narodu. „Pokój narodom" — pod tym hasłem rodziła się nasza Republika; „Pokój narodom" — oto zawołanie naszych ludzi, przelewających krew pod Stalingradem. Niech mi będzie wolno teraz zwrócić się do was — dalekich i bliskich, uczonych i artystów, którzy przebyliście dalekie morza i policyjne rogatki, aby spełnić obowiązek sumienia — z tymi prostymi słowami: „Pokój narodom".

Przez obronę kultury rozumiem obronę jej narodowego oblicza, jej niepodległości, jej swobodnego rozwoju. Od trzydziestu lat zarzucają nam wtrącanie się do cudzych spraw. Mówił o tym nawet Hitler, który zagarnął tuzin obcych państw. Obecnie powtarzają to nowi najeźdźcy, amatorzy baz strategicznych, organizujący nowe rządy europejskie na odległość. Tymczasem jesteśmy jak najdalsi chęci narzucania innym narodom naszych porządków, obyczajów i kultury.

Przed kilku laty pisałem, że oskarżanie nas o wtrącanie się do cudzych spraw jest równie bezsensowne, jak oskarżanie Golfstromu o wtrącanie się do życia gospodarczego Danii, czy Norwegii. Rzecz prosta, prądy morskie zmieniają klimat wielu krajów, miejsce chwastów zajmują róże i pomidory, nikomu jednak nie przychodzi na myśl mówić, że Golfstrom wtrąca się do spraw Skandynawii. Nasze istnienie zmieniło duchowy klimat świata. Nasz rozwój kulturalny nie może nie wpływać na życie innych, choćby najodleglejszych narodów. I jeśli we Francji, czy Włoszech trzecia część ludności głosuje na komunistów, to nie dlatego, że ją straszymy lub przekupujemy, jak to czynią inni, lecz dlatego, że dziś nawet przed analfabetami trudno ukryć, co to jest Stalingrad i kto to jest Stalin.

Mogą mnie zapytać, czemu mówiąc o obronie kultury, nie przeciwstawiam kultury socjalistycznej kulturze burżuazyjnej. Myślę, że w roku 1948 nie można mówić o kulturze burżuazyjnej, ona już nie istnieje; dziś widzimy tylko burżuazyjne barbarzyństwo. To barbarzyństwo może być obficie zaopatrzone w elektryczne lodownie i sprośne komedie, samochody i filmy stereoskopowe, w laboratoria i powieści psychologiczne, a jednak wciąż jeszcze pozostaje barbarzyństwem. Burżuazja swego czasu stworzyła wielkie wartości. Drogie nam jest z przeszłości wszystko, co jest cenne i drodzy nam są również uczeni pisarze i artyści, którzy wyszli z trzeciego stanu. Ale Balzac pisał w twórczym okresie kapitalizmu. Obecnie kapitalizm niszczy i dziś nie może wydać nowego Balzaka.

Czy Kultura Zachodnia?

(Dokończenie)

Burżuazyjnemu zdziczeniu, tak charakterystycznemu dla naszej epoki, przeciwstawiam kulturę socjalistyczną. Granice biegną nie w przestrzeni, lecz w czasie — po jednej stronie nowe społeczeństwo, które przejęło całą puściznę kulturalną ludzkości, po drugiej — klasa zgrzybiała, której istnienie podtrzymuje się nie butlami z tlenem, lecz duszną atmosferą terroru, wojnami i gwałtem. Wszystko, co żywe i wartościowe, tworzą dziś na zachodzie ludzie zbliżeni do ludu.

Ktoś czynił nam zarzuty, twierdząc, że nazywamy wielkimi tych pisarzy i artystów, którzy są naszymi zwolennikami. Sprawa przedstawia się inaczej: nie dlatego są oni wielcy, że należą do nas, lecz dlatego do nas należą, że są wielcy. Wszak nawet najbardziej utalentowani ludzie jałowieją z chwilą, kiedy zatracają poczucie łączności ze swoją epoką. W ogonie historii można spotkać plagiatorów, sybarytów i geszefciarzy, ale w żadnym wypadku geniuszów.

Wiemy, że zebrali się tutaj ludzie rozmaitych przekonań. To, co myślę, wypowiedziałem w sposób prosty, ale my nie szukamy sprzeczki. Nie chcemy podkreślać tego, co nas dzieli, przeciwnie, szukamy tego, co mogłoby nas zjednoczyć. Bez względu na to, jakie mogłyby być koncepcje filozoficzne lub estetyczne tych czy innych uczestników naszego kongresu, wszystkich ich sprowadziło tutaj szlachetne pragnienie obrony pokoju i kultury. Więc i oni—tak samo jak i ja—wierzą w przyszłość, więc i oni — tak samo jak ja — nienawidzą tych nędzników, którzy dla własnego zysku i władzy chcą powstrzymać bieg czasu.

Przed dwoma laty słyszałem w Paryżu, jak pewna midinetka utyskiwała: „Amerykanie zwalają winę na Rosję, Rosjanie na Amerykanów, a nam znowu obniżono porcję chleba". Midinetka rzeczywiście nie orientowała się w sytuacji, ale jest wielu inteligentów, którzy udają obojętnych, a w rzeczywistości szukają jakiegoś „kompromisu" między chciwością a pracą, między tymi, którzy odbudowują zburzone miasta, a tymi, którzy pragną je zniszczyć przy pomocy bomby atomowej. Zastanówcie się, czy może pragnąć wojny naród nasz, który poniósł tak wielkie ofiary w czasie wojny o wolność Europy. Podczas całej mojej podróży z Moskwy do Wrocławia nie spotkałem po drodze ani jednego miasta, które by nie było zniszczone przez faszystów. Nie wiele jest w mojej ojczyźnie rodzin, które zebrawszy się w dniu święta za stołem, nie odczuwałyby braku kogoś z najbliższych. My nie prowadziliśmy wojny przy pomocy słów, my biliśmy się o pokój i dlatego nade wszystko cenimy zdobyty pokój, który pozwala odbudowywać miasta, wychowywać dzieci i rosnąć sadom.

Powiedziałem, że wierzę w zwycięstwo socjalizmu. Lecz właśnie dlatego, że wierzymy w tryumf naszych idei, pragniemy pokoju. Któż pragnie wojny? Jasne, że nie amerykański naród, lecz amerykańskie rekiny kapitalistyczne pragną wojny właśnie dlatego, że również wierzą w zwycięstwo socjalizmu i tylko marzą o tym, żeby zmienić bieg historii, pogrążyć przyszłość we krwi. Krzyczą głośno, że boją się naszych czołgów, w rzeczywistości jednak ogarnia ich lęk przed naszymi traktorami, naszymi garnkami i trzewikami, naszymi książkami i naszą przyszłością.

Dwa lata temu byłem w Stanach Zjednoczonych. Widziałem kraj bogaty, bez ruin i bez żałoby. Ale spokój tego kraju był pozorny — każdy człowiek, z którym rozmawiałem, zaczynał mówić o niedalekiej wojnie. Szantażyści chcieli nas nastraszyć, nastraszyli własny naród. My także często mówimy o wojnie, lecz nie w czasie przyszłym, a w przeszłym — przypominamy sobie okres najtrudniejszy — rok 1941. Napadł na nas wróg, napadł znienacka mając przewagę liczebną czołgów i samolotów. Wytrwaliśmy wtedy i zwyciężyliśmy. Świadomość moralnej i duchowej siły naszych ludzi — oto nasza wiara, oto nasza tarcza. Stawialiśmy na człowieka i człowiek nas obronił.

Przyjaciele, zgromadziliśmy się tutaj w okresie niepewności. Mgła zalega Atlantyk. A ruiny, widoczne z tych okien, przypominają nam, czym jest wojna. Przybyliśmy do miasta, które tętni nowym życiem i, oswobodzone heroicznym wysiłkiem radzieckiego i polskiego żołnierza, jest ożywione trudem ludzi pracy. Jeszcze przed pięciu laty pod pomnikiem Klausewitza butnie przechadzali się jego nieodrodni uczniowie, podczas, gdy w fabrykach omdlewali ze zmęczenia niewolnicy i niewolnice, przygnani tutaj ze wszystkich stron Europy. Dzisiaj zebrali się tutaj uczeni, pisarze, artyści i czołowi postępowcy najróżniejszych krajów, którzy radzą o sprawach najistotniejszych i najważniejszych — o tym, jak uchronić dziecko, naturę, poezję, od wzbierającej za oceanem burzy.

Tak, wiele mówiono tu o pokoju. Piękne słowa! Ale nie wystarczy wychwalać pokój — trzeba go bronić: możemy tego dokonać wespół z naszymi narodami. Przyjaciele z Ameryki, wkrótce powrócicie do domu. Powiedzcie swoim współobywatelom, że spotkaliście się w polskim mieście Wrocławiu z rozmaitymi ludźmi. Spotkaliście się również z „czerwonymi" — tak nas się u was nazywa. I powiecie im, że ci „czerwoni" nie chcą wcale niczego zdobywać, że żądają tylko jednego — prawa do spokojnej pracy, do życia na własny sposób i do budowania tego społeczeństwa, dla którego żyją. Powiecie swoim współobywatelom, że jeśli nienawidzimy Ameryki Thomasa i Mundta, droga nam jest Ameryka Roosevelta, Ameryka Wallace'a, Ameryka narodu amerykańskiego. Przyjaciele angielscy, powiecie w Anglii, że pamiętamy męstwo Londynu w czasie bombardowań zimowych, że nie pragniemy zagłady pięknej kultury angielskiej, którą chcą zdławić zaoceaniczni parweniusze. Przyjaciele z Francji, przyjaciele z Włoch, przyjaciele szesnastu krajów zaprzedanych w jarzmo, powiecie, że dla nas, pisarzy i uczonych radzieckich, drogie są wszystkie pomniki europejskiej kultury. Pragniemy tylko jednego — obrony kultury, pokoju i niepodległości waszych krajów. Mówcie, piszcie, pracujcie, przemawiajcie na wiecach, walczcie. Nie wolno tracić ani godziny. Niechaj to nasze spotkanie pośród ruin wojennych stanie się początkiem nowej epoki. Bez soli nawet chleb nie jest chlebem. A wy jesteście solą, wy jesteście sumieniem, wy jesteście mądrością narodów. Musicie poprzysiąc, że odtąd nigdzie nie będzie rozbrzmiewał głos oszczercy, podżegacza, szantażysty, bo każdy z was przerwie mu słowami prawdy i nadziei.

Zwyciężymy w walce z ciemnotą — ludy są z nami, z nami są najwybitniejsi przedstawiciele myśli, kwiat ludzkości. Pamiętam, jak przed dziesięciu laty, kiedy faszyści najeźdźcy Hiszpanię, pewien młody republikanin powiedział mi: „Zwyciężymy, bo z nami jest jutro", Hiszpania jest jeszcze w kajdanach i trwałości tych kajdanów pilnują gorliwie rzekomi demokraci Zachodu. Ale ów żołnierz miał rację. Zwyciężymy my — ludzie pokoju, braterstwa i pracy, zwyciężymy, bo z nami jest jutro.

Ilja Erenburg

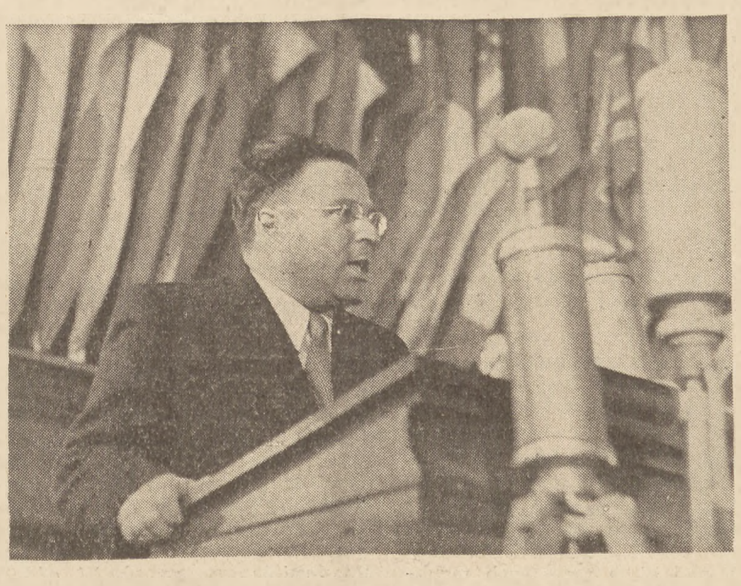

Dow Chomski

JEAN MARCENAC

Malarstwo francuskie na kongresie wrocławskim

Z okazji Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu została otwarta wystawa dzieł siedemnastu spośród najwybitniejszych malarzy szkoły francuskiej. Wystawa ta, obejmująca dzieła Picassa, Matisse'a, Legera, Marqueta, Bonnarda, Dufy'tego, Chagalla, Lhote'a, Gromaire'a, Desnoyera, Walcha, Lurçata, Pignona, Fougerona, Taslitzky'ego, Marchanda, Loriou będzie następnie przewieziona do Warszawy. Poniżej podajemy tekst przedmowy, napisanej przez Jean Marcenaca do katalogu tych dzieł.

Atmosfera Paryża, ze swą płynnością i nieuchwytną siłą przyciągania, nie ma nic równego sobie na świecie.

Przybyło ich tu sto, czy tysiąc, ze wszystkich zakątków Francji, z wszystkich krajów świata. Jeden ze swymi cnotami normandzkimi, swym zamiłowaniem do okrętów, koni, morza i muzyki, miłością ciała, jego ciężaru i realizmu — to Dufy i Léger. Inny przywiózł ze sobą niebo Lotaryngii, ostre i chłodne — to, które widzimy w obrazach Lurçata. Oczy innego zapatrzyły się na łagodne wzgórza Cambresis — na zawsze pozostała w nim wypisana, jak pieśń ducha, arabeska o liniach stałych, poważnych i czystych: to Matisse. Inny jeszcze zabrał w swym bagażu emigranta rosyjską dal, równinę niezgłębioną i ciągle nową, tak rozległą, że oko nie jest w stanie jej ogarnąć, trzeba całego błękitu marzenia, tkliwego obcowania ludzi z aniołami, aby ją poznać i zaludnić: — oto Chagall. Wreszcie ten, który swoim ramieniem podtrzymuje stulecie — Pablo Picasso z Hiszpanii, twardej, mężnej i ubogiej, ten, który przenika rzeczywistość aż do kości, rzucając na płótno kolory i kształty, tak, jak wieśniak z jego kraju dźwiga w koszu na plecach ziemię i kamyki, porwane przez burzę, aby uprawiać na nowo swe pole, na nagiej skale, otoczone kamiennymi ścianami.

■

Przybyli tu zewsząd — z Auvernii i z Tulonu, z Marsylii i z Bretanii, z Alzacji, Katalonii i z Polski; ci, których oczy patrzyły na olśniewającą Florydę, i ci, którzy zachowali w pamięci rozpaczliwą, graniczącą z fioletem, szarość, wieczorów na Bałkanach.

Wszyscy mogli wierzyć przez chwilę, że w nich i w ich sztuce drzemie, jak próba złota miara wartości świata. Przez całe swe życie bronili, lub będą bronili, barwy, kształtu, spojrzenia na człowieka i na rzeczy, prawdy, która byłaby prawdą całkowitą.

Z tej dumy, tej słusznej ambicji, która ożywia jeszcze malarstwo, z wszystkich wysiłków, szamotań, rozpaczy, złości, złudzeń i nadziei, z mnogości temperamentów, kierunków, Paryż stworzył to, co — niezależnie od różnic — nazywamy szkołą paryską.

■

Lecz — miejmy się na baczności! Błędem było by wyobrażać sobie ten zespół jak rodzaj pensjonatu artystów otwartego na oścież, willi Medicis, rozrzuconej po różnych dzielnicach i pracowniach, gdzie nie krępowanych żadnymi przepisami mieszkańców nie łączy nic, oprócz czarodziejstwa Paryża. Nie zdając sobie nawet sprawy istotnie tworzą szkołę, której różnorodność, znaczenie i szeroka rozpiętość nie powinny ukrywać surowych reguł podtrzymujących ją i ożywiających. Siedemnastu artystów tutaj reprezentowanych, a wśród nich brak jeszcze z pewnością wielu — dąży tą samą drogą. Ci, którzy przyklejają nos do płótna mogą myśleć że obraz i sposób jego malowania wyznaczają tylko czynniki osobiste i techniczne; ci, którzy patrzą z pewnego oddalenia, dochodzą do wniosku, że malarstwo posiada swoją historię, a malarze są spadkobiercami tradycji, czerpiącymi korzyści z walk, prób i poszukiwań, które prowadzili przed nimi inni. Ci, którzy patrzą z właściwej perspektywy, wiedzą, że historii malarstwa nie można oddzielić od historii ludzkości i historii idei. W aniołach Chagalla, twarzach Picassa, kobietach Fougerona, czy zwierzętach Lurçata, krąży ta sama krew. Jest to krew nasza, krew epoki pracy, w której żyjemy.

■

A zatem, ta atmosfera Paryża, o której mówiłem na początku, to przede wszystkim duch naszych czasów, żywy i bardziej pulsujący u nas niż w jakimkolwiek innym zakątku świata. Przenika on niewątpliwie umysły, które wydają się najbardziej niedostępne, zamknięte w osobistych marzeniach i własnym osobliwym świecie — umysły artystów. Czemuż to zresztą, na podstawie jakich zimnych i bezdusznych przywilejów, malarze mieliby odgraniczać się od dramatu świata dzisiejszego? Idea piękna zamilkła. Mówiąc słowami Rimbauda „objawia się idea potopu". Wobec niej umysł ma inne obowiązki, czy też inne skłonności, aniżeli zachwycać się samym sobą. Świat wdziera się dziś do malarstwa, tak samo jak do poezji, żądając, domagając się zrozumienia, pomocy, ratunku, przemiany. Wysiłki ludzkie nie zmierzają już w dwu kierunkach: tworzenia historii i tworzenia sztuki. Kierunki te łączą się i zbiegają we wspólnym dążeniu do przeobrażenia świata, i stworzenia rzeczywistości, która nie upiększałaby się kłamstwem.

■

Skończyła się epoka, kiedy malarstwo było próbą zręczności. Dziś jest próbą sumienia. Malarstwo nie zadowala się pozorami, lecz chce wykroczyć poza nie i dotrzeć do rzeczywistości; dążenie do sztucznego piękna przestaje być sztuką. Coraz słabiej bije serce, które Baudelaire nazywał „sercem uciekającym od prawdy". Potrafi ono zaledwie ożywić bladym rumieńcem ostatnie portrety modnych malarzy, lub nadać odrażające pozory życia, pozbawionym człowieczeństwa aktorom wypracowanych mitów surrealizmu. Serce sztuki bije w tej chwili jednym rytmem z sercem człowieka. W tym współdźwięku należy szukać wielkości malarstwa paryskiego. Dzięki niemu można zrozumieć, jak to się dzieje, że tyle talentów, tyle różnych uzdolnień, można sprowadzić do wspólnej miary, która staje się podłożem teoretycznych rozbieżności.

Przyjrzyjmy się temu, co na tej wystawie wydaje się nam najtrudniejsze do pogodzenia. Kobieta Picassa i robotnicy Borysa Taslitzky'ego mówią jednak wspólnym językiem, wyrażają to, czym są w istocie: oskarżenie i nadzieję. Kobieta jest tym, czym ją uczynił świat, robotnicy zaś tymi, którzy ten świat chcą budować.

Jean Marcenac
przełożyła **Kalina Wojciechowska**

ECHA KONGRESU INTELEKTUALISTÓW

rys. Gwidon Miklaszewski

Mars: — Ty przeciwko mnie?!

Intelektualista: — Był już raz jeden taki jak ty. Nazywał się Goliat!

MIŁASZEWSKI STANISŁAW
„PIĘKNE POLKI"
1 egzemplarz kupię. Zgłoszenia »PAR« Kraków, Rynek Główny 46, dla »ERES«

PAUL ELUARD — Przełożył: WITOLD WIRPSZA

Rachunek do wyrównania

Dziesięciu przyjaciół zginęło na wojnie
Dziesięć kobiet zginęło na wojnie
Dziesięcioro dzieci zginęło na wojnie
Stu przyjaciół zginęło na wojnie
Sto kobiet zginęło na wojnie
Sto dzieci zginęło na wojnie
I tysiąc przyjaciół i tysiąc kobiet i tysiąc dzieci

Umiemy dobrze liczyć umarłych
Na tysiące i na miliony
Umiemy liczyć lecz wszystko przemija szybko
Między jedną wojną a drugą wszystko się zaciera

Niechże choć jeden zmarły nagle powstanie
W obliczu naszej pamięci
A będziemy żyli przeciw śmierci
Bili się przeciw wojnie
Walczyli o życie

Wiersz napisany podczas kongresu we Wrocławiu

Rozmowa z Hansem Eislerem

Hans Eisler jest to jeden z nielicznych kompozytorów współczesnych, szukających w swojej muzyce kontaktu z ruchem robotniczym. Ze względu na swe lewicowe poglądy musiał uciekać z Rzeszy hitlerowskiej i ukrywać się w Ameryce — i z tego samego powodu opuścił Stany Zjednoczone, przeżywszy sławny już dziś proces o działalność antyamerykańską.

Pierwsze pytanie zadane Eislerowi, dotyczyło stanu sztuki w Ameryce.

— Losy artysty w Ameryce współczesnej nie są godne zazdrości. Szybko i na sposób amerykański zindustrializowani: kultura (film, radio, muzyka rozrywkowa, operetka), została zmonopolizowana przez wielki kapitał i nie ma właściwie w Ameryce obecnej wolnego artysty. Koncertowe agentury kupują sobie artystów, wykorzystując ich jako towar z uwzględnieniem potężnego zysku i tylko dla tego zysku, artysta się sprzedaje. Jeśli artysta chce mieć powodzenie, jeśli chce żeby agentura go kupiła, musi tak tworzyć, aby się mieścił w ramach kapitalistycznego systemu. Z drugiej strony agentury, wybitnie kapitalistyczne zrzeszenie „nie kupi" postępowego artysty. Mówił mi znakomity pisarz, żyjący w Ameryce, że jeżeli książka nie zostanie zakupiona przez klub (wyłączam oczywiście kluby postępowe, które również istnieją), pisarz nie ma widoków osiągnięcia powodzenia. Musi więc tak pisać, aby się podobać i politycznie i artystycznie, kapitalistycznie zorganizowanym monopolom wydawniczym.

Oczywiście wielcy artyści tego nie robią, to też ich sytuacja materialna jest bardzo zła, nie wyłączając najwybitniejszych artystów. Śmiem twierdzić, że gdyby Hemingway napisał radykalną powieść, musiałby ją zachować u siebie w szufladzie.

Nie można przeczyć, że Ameryka posiada dużo interesujących i zdolnych artystów, ale zmonopolizowanie życia artystycznego nastawionego tylko na zyskową eksploatację hamuje rozwój sztuki. Sytuacja materialna poważnych artystów, jest bardzo zła, zdolny kompozytor musi się utrzymać albo z pracy pedagogicznej, albo sprzedając się giełdzie, radiu, filmowi, lub produkcji rozrywkowej. Jeśli tego nie uczyni — głoduje. Twórcy zaś operetek i muzyki rozrywkowej są milionerami.

Artyści zajmują się żywo ruchami politycznymi kraju. Działalność Wallace'a popiera wielka ilość znakomitych amerykańskich pisarzy i muzyków. Przeciwko tzw. „Komisji Badań" występują najlepsi twórcy amerykańscy; występowali również w mojej obronie zarówno pisarze, jak i kompozytorzy oraz najwybitniejsi aktorzy i krytycy muzyczni. Nie chcę obecnie wymieniać nazwisk, aby moich kolegów w Ameryce, których bardzo szanuję, nie narazić znów na nieprzyjemności, wynikające ze stawania przed ową osławioną komisją. Mamy wielkie dane po temu, aby uważać naród amerykański za naród godny podziwu. Kocham ten naród, ale nie należy go utożsamiać z rządem, składającym się z bankierów, posiadaczy monopoli gazetowych.

— Zwołanie kongresu było moim zdaniem rzeczą konieczną, tak jak konieczne jest odniesienie zwycięstwa nad groźbą nowej wojny. Skutki nowej wojny są nie do wyobrażenia i bez różnicy zabarwień politycznych wszyscy intelektualiści muszą się spotkać na jednej płaszczyźnie: jest nią wspólna walka artystów i uczonych w obronie pokoju przeciwko podżegaczom wojennym. Jako fachowiec wiem, że wychowanie kompozytora musi trwać co najmniej siedem lat, i że ostatnia wojna pozostawiła muzykę w Europie zachodniej w okropnej sytuacji. Pokój musi być zachowany nie tylko z pobudek humanitarnych, ale również z uwagi na dobro kultury. Musimy się odnaleźć aby odbudować sztukę, wychować nowych artystów, a to może się stać tylko w okresie pokoju i w braterstwie z innymi narodami.

Rozmowę przeprowadził
Stanisław Wygodzki

POLA GOJAWICZYŃSKA

ZMIANY W ŻYCIU

Zygmuntowi Tomczakowi

(Dokończenie)

— Ich córka, to musi być wysoko wykształcona, a mojej wystarczy, że umie czytać, więcej nic nie potrzebuje wiedzieć!... — przemknęło jej znów przez myśl.

Rozżalona, wzburzona i wzruszona, usłyszała nagle swój własny oddech, trudny i świszczący, lecz szła szybko naprzód, nie zdając sobie sprawy, co to znaczy. Łzy poczęły jej kapać z oczu, taki ją ogarnął żal. Płakała nad stratą przyjaciół, ludzi życzliwych — jakby byli nimi rzeczywiście i naprawdę; może płakała także nad stratą swoich złudzeń, może z upokorzenia?... Uprzytomniła sobie, że już więcej nie pójdzie do Lipczyńskich. Nagle coś jej utkwiło w gardle, oczy wyszły na wierzch, całe ciało zatrzęsło się od spazmu. — A, co ja robię najlepszego!... — chwyciła się za głowę. — Przecież ja się dobijam, muszę się uspokoić... — Tkaczka stanęła pod murem, otarła twarz wierzchem dłoni i starała się opanować nadchodzący atak. W domu, na taki wypadek miała ziółka, które się zapalało, aby zaczęły dymić. Ten dym, bardzo przykry w zapachu, przynosił jej ulgę. Teraz, ze względu na córkę, nie chciała wracać do domu w tak kiepskim stanie. Oparła się o mur, dysząc ciężko, otwierała szeroko usta, lub też zaciskała je, usiłując oddychać nosem. Ludzi już prawie nie widać było na ulicy. I, stojąc tak w ciemności i ciszy, uczyła się zwolna panowania nad ciałem, nad chorobą, nad miękkością swojej natury. Poszła do Lipczyńskich po radę, a otrzymała twardą lekcję. Zrozumiała, że gdyby tak w życiu jej się naprawdę powiodło, Lipczyńscy nigdyby nie uznali tego za słuszne. Oni sami narysowali wyraźną linię i ukazując jej tę skromną miarę wartości, jaka jej i Stefce przypada w udziale, zażegli w niej upór, podniecili wolę. Uspokoiła się wreszcie i wolnym krokiem, rozważnie, wróciła do domu.

— Cóż to, widzę, że wychodzisz? — spytała cicho córki.

— Tak, byłam u chrzestnego — odpowiedziała Stefka, siąkając nosem. — Ale on sobie pojechał do Katowic, nawet nie powiedział, że wyjeżdża.

— A rzeczywiście! — rzekła matka — to ty myślisz, że on nic innego nie ma na głowie, tylko nas?

Stefka była jeszcze tak naiwna, że zapytała: — Czy on ma też chrześniaczkę w Katowicach?... — a matka roześmiała się słabo.

— On pojechał tam na remont maszyn, przecież to mechanik. A teraz kładźmy się, bo już późno.

Wracając do domu, Stefka zrobiła wydatek na swoją rękę, a teraz obawiała się matki i szukała słów, jakby tu zacząć. Była tak zgnębiona, że wstąpiła do wędliniarni. Człowiek, robiący przedświąteczne sprawunki, zyskuje zaraz lepsze samopoczucie. U rzeźnika, mimo spóźnionej pory i założonych już sztab u wyjścia, panował ścisk nieopisany, kupowano całe kilogramy kiełbas, mięsa i serdelków, aż Stefka zastanawiała się mocno, skąd ludzie mają tyle pieniędzy? Ona sama kupiła pół kilo okrawków. Kosztowało to tylko pięćdziesiąt złotych, a wszystkiego miała potrochu, była nawet i szynka. Nazajutrz wypadała niedziela. Stefka wyobrażała sobie, jak matka szykuje świąteczną, lepszą kawę, a ona pokroi ładnie chleb i ułoży na talerzyku wędlinę.

— Mamo — rzekła wreszcie przymilnie — czy ja mogę przyjść do mamy?... od ściany?...

— A, starucha — mruknęła matka — po co? Śpij... — Ale zrobiło jej się żal i pozwoliła — No, chodź!...

Stefka jednym susem znalazła się w łóżku, a po chwili wybąkała swą sprawę. Matka słuchała ze ściśniętym sercem. — Takie głupstwa zaprzątają nam głowy, Stefka martwi się, że kupiła trochę wędliny, ja znów tymi tam Lipczyńskimi!...

— Dobrze zrobiłaś — pochwaliła ją jakimś ciężkim i poważnym głosem — Od czasu do czasu człowiek musi sobie pozwolić, na co ma ochotę.

Nagle, jakby tylko na to czekała, Stefka cmoknęła ją w rękę i momentalnie zasnęła. Matka długo leżała w świetle maciupkiej lampki, wpatrując się w sufit. Myślała: — Jak to my żyjemy, Boże drogi?... Wojna, choroba, praca, śmierć... Ale było coś jeszcze na tym świecie, co miało ją podżegnąć do niespodziewanych dla niej samej czynów. Drgnęła.

— Wezmę te sześć maszyn, a Stefce nic nie powiem. Czy ona to musi wiedzieć, co się dzieje w fabryce.

Nazajutrz zgłosiła się do majstra. Chrzestny zdążył jeszcze na czas, aby skontrolować jej nowe maszyny i doprowadzić je do stanu doskonałości. Nie zamienili ani słowa, ponad kilka fachowych mruknięć, mających określić cechy tych organizmów, z którymi miała tak ściśle teraz współżyć. Przed tą wielką próbą, jaką była dla niej nowa norma, tkaczka powiedziała sobie, że nic jej tak nie szkodzi, jak wzruszenie, wahania i niepokój. Wiedziała dobrze, że gdy puści już maszyny w ruch, a zacznie się denerwować, straci głowę i cofnie się zaraz po pierwszym dniu. Czuła, że jeśli przegra teraz, to już na zawsze; że zostanie na boku. Był to czas, gdy po fabrykach obradowano burzliwie, lecz to już nie było dla niej, słuchanie argumentów i kontrargumentów, ani za, ani przeciw, bo ona powzięła już sama postanowienie. Młodzież rzuciła się do wyścigu pracy, do rekordów i całe zainteresowanie skupiło się na nich. Pani Michalska nie miała tej siły i tego rozmachu młodości, lecz posiadała za to wielką sprawność i doświadczenie. Rozumiała też swoje nowe zadanie. Któregoś dnia, po robocie, w kantorze pokazano jej wzory na desenie, jakie nadeszły z Warszawy, a majster i inżynier ustalali, które z nich będzie można zrobić, a które nie. Ujrzała też na kartonach modele sukienek, z ceną już skalkulowaną do sprzedaży w sklepie. Miały kosztować niewiele ponad tysiąc złotych. Otworzyła szeroko oczy: to była cena, na którą sobie można już pozwolić. Dotąd kupno odzieży z zarobków było niemożliwością, kupowano stare ciuchy, na rynku, dla przeróbki. Jeżeli to się uda?!

Robotnica odgrodziła się niczym grubą ścianą od wszystkiego, co mogło jej przeszkodzić, i w tej ciszy nasłuchiwała tylko chodu maszyn i rytmu własnego oddechu. Szły dobrze; oddychała spokojnie i lekko. Doznała wewnętrznej ulgi i sama sobie skinęła głową. Należało tylko wytrzymać. Jak długo? Wyobrażała sobie, że kampania sezonowa, która wzięła odrazu po fabrykach tak ostre tempo, potrwa przecież określony czas. Do tej pory musiała wytrzymać. W oddali, przed sobą, miała jeszcze na widoku głowę swej córki, z włosami gładko zaczesanymi. Lubiła też z początku rozmyślać o dniu wypłaty i odłożonej sumie.

Weszła w robotę i niekiedy sprawiała na obcych wrażenie niewidzącej i niemej, ze swym odległym spojrzeniem, nieruchomością i skąpymi słowy. Nikt nie zdawał sobie sprawy z jaką zmorą, z jaką słabością swoją walczy. W pierwszych dniach nie stało jej czasu, aby otrzeć pot z czoła, poprawić opadające włosy, lub sięgnąć do butelki z wodą. Jakżeby chciała, wróciwszy do domu, powiedzieć: — A, spracowałam się dzisiaj, wszystkie kości mnie bolą!... — Jakżeby chciała się poskarżyć, że nogi ma oto spuchnięte!... Łaknęła tego, jak chory, któremu jęk przynosi ulgę. Lecz musiała powstrzymać utyskiwania tak samo, jak nie mogła się pochwalić: — Dziś szło mi dobrze, widzisz, że daję sobie radę.

Kiedyś, sięgając po chustkę, namacała w kieszeni roboczego fartucha jakieś okruchy. Były to papierosy, sporządzone z ziółek, które zabierała do fabryki na wypadek zadyszki. Ilekroć myślała o takiej chwili, mróz ją przechodził, bo musiałaby wtedy wyjść z sali, rzucać robotę. Ale oto — rozsypały się, pokruszyły zapomniała o nich. Zamyśliła się głęboko. Cóż to więc się stało z jej chorobą?... Nie czuła się ani silna, ani zdrowa, ale też — nie miała ataków. Powinna była mieć atak po ataku, bo lekarz ongiś uprzedził ją, że zmęczenie, pył fabryczny — przyśpieszy rozwój choroby. Lecz doświadczała na sobie stanu, który graniczy z cudem, gdy silna wola zawładnie człowiekiem i skupi jego wszystkie pragnienia i myśli na rzeczy pozornie nieosiągalnej.

Rozmaitymi drogami zdobywa się uświadomienie klasowe, społeczne i polityczne, uświadomienie swego miejsca i roli w świecie. Jeden na wiecach, drugiego pouczy towarzysz, ktoś inny zdobywa je przez książkę, przez mozolne poszukiwania. Pani Michalska niewiele wiedziała o walce klasowej. Teraz jednak zaczęła myśleć o niej tak, jak się układało jej własne życie. Wspominała swoje dzieciństwo, rok 1905 i sądziła, że to się wtedy właśnie zaczęło. Potem dopiero spostrzegła, że to już ma za sobą całą historię, we wszystkich krajach świata i że ona, stojąc przy swych krosnach, postarzała i słaba, znalazła się w samym środku tej walki, w samym jej sercu. Wzięła się za swoją robotę, aby zdobyć lepszą przyszłość dla Stefki, a zaszła Bóg wie dokąd. Teren fabryki, jak mała społeczność, odbijał w sobie te wszystkie przemiany, jakie szły przez kraj. Została wpisana na wczasy, do miejscowości kuracyjnej, syn jednego z robociarzy chodził na politechnikę — drugiego — na uniwersytet, a pewna młoda robotnica, wprost od warsztatu frunęła do Szkoły Zdobniczej. Młodzi szli gremialnie do szkół zawodowych, technicznych, organizowali kursy, a ucząc się i pracując, oddawali swe wolne dniówki i urlopy jeszcze i jeszcze odbudowie kraju. Ale uświadomiła sobie także, że oni wszyscy i ona sama mogą być także przedmiotem czyjejś nienawiści. Zdumiewała się, potrząsając głową, wierzyć jej się nie chciało. Jakto, dlaczego? Stoi oto na spuchniętych nogach i pracuje, a materiał jaki wyrobi, odzieje zarówno jednych, jak i drugich. Być może także, że któregoś dnia zabije ją ta praca, że padnie przy tych maszynach i nie wstanie więcej. Wówczas powiedzą: patrzcie, do czego ją to doprowadziło! I na myśl, że tak się może stać, jej oczy wymowne od boleści, stawały się znów nieme i głuche. Wszystko, co w niej było czułe i wrażliwe jeszcze, zdawało się zamierać. Zaciskała usta i przyśpieszała bieg pracy, jakgdyby to tylko było jej bronią. Dojrzewała, w charakterystycznym szurgocie krosien, i ten głos wypełniał jej świat, towarzyszył jej myślom, kształtował je.

WROCŁAWSKI KONGRES INTELEKTUALISTÓW
w rysunkach Jerzego Zaruby

NEO-TAYLORYZM — NAUKOWA „DEZORGANIZACJA WSPÓŁPRACY"
(prof. Taylor był przeciwko rezolucjom Kongresu i za planem Marshalla)

PÓŁMISKI I INTELEKT
(nic tak nie wysubtelnia intelektu jak dobrze zastawiony stół)

INTELEKT I PÓŁMISKI
(Pablo Picasso obdarzył Polskę cennymi półmiskami)

CZERWONE I CZARNE
(Dziekan Canterbury Johnson, ks. Boulier i duchowny prawosławny)

RAZ W ŻYCIU!
(Między Picassem i Erenburgiem)

— Pani Michalska, może pani porozmawia z tym panem, to dziennikarz.

Młodziutki, różowy blondynek w okularach, wyjął błyskawicznie notes, pióro i zapytał żwawo a wesoło: — Co pani mi powie, pani Michalska, no?... Jaki procent nad normę?... Jak pani do tego doszła?... Czy pani jest szczęśliwa, że pani osiągnęła —

Powinna była odpowiedzieć: — Tak, panie jestem szczęśliwa!... Podniosła głowę i spojrzała na niego w milczeniu. Cóż on wiedział? Cóż on wiedział o jej życiu i pracy?... Zacisnęła usta. Usłyszała lekkie pstryknięcie, odmienne od chodu maszyn, pochyliła znów głowę. Myślała zawsze o ludziach z powagą i żądała tego samego dla siebie.

Cisza w niej stawała się coraz głębsza, słowa przestały być potrzebne dla określenia tej rzeczy, która w niej się działa. W ciągu jesieni i zimy tkaczka opanowała swoje sześć maszyn, przeszła na osiem, i szybko jakby bez tchu, poczęła bić wszelkie możliwe nadnormy. Zdawało jej się, że wstępuje pod górę i że idąc tak, dosięgnie jakiegoś szczytu. Stefka niknęła jej z oczu, pozostawała rzecz sama w sobie. Nawet zarobek, który przecież był przyczyną jej trudu, nie przedstawiał tej wagi. Kręciło się jej w głowie, ale czuła, też, że ani powstrzymać się, ani zawrócić — już nie może.

Tego dnia, gdy osiągnęła cyfrę tak wysoką, zawołano ją do kantoru.

— No... pani Michalska — zaczął majster głosem raczej stroskanym— tegośmy się po pani wcale nie spodziewali...

Robotnica, zmieszana, spojrzała na niego bez zrozumienia. Miała jeszcze twarz naprężoną i zamyśloną, jak zwykle przy pracy, i gdy jej wymieniono ilość wyprodukowanego materiału, przez tę niemą i zamkniętą twarz przebiegł wzruszający wyraz. Ktoś zapytał: — Dobrze, ale jak pani sobie daje radę?... Czy nie za ciężko? — Stała, w swej przydługiej spódnicy, w zniszczonym swetrze, z chustką opadającą z ramion, patrząc na ludzi z Rady Załogowej, którzy się tu zeszli, jakby na uroczystość. Czuła, że jest z nimi silnie związana, dostrzegła coś braterskiego w ich spojrzeniach. Ogarnęło ją uczucie nieopisanej otuchy i odpowiedziała swym zmęczonym głosem: — A ciężko, to prawda!...

Oni wiedzieli, że to ciężka praca. Uśmiechnęła się i wyszła.

— Teraz jej powiem! — myślała, idąc do domu — nie ma co ukrywać tego dłużej!

W drodze, mogła sobie zawsze postękiwać i czyniła to. Jęczała z cicha, a gdy ktoś szedł obok, mógł przypuszczać, że mruczy pod nosem jakąś piosenkę. Na Piotrkowskiej zobaczył kobiety z kubłami, stojące w kolejce po wodę, przystanęła, zmoczyła chustkę i mimo zimna otarła sobie dokładnie całą twarz, myśląc, że w ten sposób zciera z niej ślady swojej pracy, rozmyślań i zmęczenia. Była rozradowana tą skąpą rozmową w kantorku. Stojąc przed drzwiami mieszkania, uśmiechnęła się, jak aktorka, która ma wejść na scenę. Przybrała swój zwykły, skłopotany wyraz, mówiąc sobie: — Po co jej mam mówić? I tak się kiedyś dowie... Czy to co ważnego?

Od tamtego wieczoru, jesienią, kiedy to wszystko się zaczęło, minęło z górą pół roku. Szło już na wiosnę i jej ciepłe podmuchy dawały się już odczuć w słoneczne południe. Stefka siedziała na ławeczce pod oknem z pelargoniami, obierając kartofle, z miną głęboko zamedytowaną. Matce stanął tak żywo w oczach tamten dzień i bez słów wyczuła, że coś się stało.

— Ciepciu!... Co ty masz taką minę?

— Nie nazywaj mnie Ciepcią — odpowiedziała dziewczyna. — Nie jestem dzieckiem...

I rzucając obrany kartofel aż woda bryznęła na podłogę, zawołała:

— Mamo, ja odejdę od Lipczyńskich!

— Co się stało, zamyli ją sklep?... Nie było to już dla niej katastrofą, odetchnęła.

— Nie zamykają — odpowiedziała Stefka — tylko ja nie mogę tak tkwić na jednym miejscu. Mam przecież praktykę, mam kwalifikacje. Pójdę do domu towarowego. To nowy sklep, remontują cały dom na Piotrkowskiej.

Matce błysnęły oczy, ale powiedziała:

— A czy ty wiesz, że tam pensja będzie mniejsza, ale pracy na pewno więcej? U Lipczyńskich miałaś spokój.

— Cóż mi z tego?... U Lipczyńskich niczego już się nie mogę spodziewać. A tam — nawet jeżeli z początku mniej dostanę — mogę awansować. Zacznę chodzić do szkoły wieczorowej, jak się uprę, to zrobię maturę. Ja już to sobie dobrze obmyśliłam. W samym sklepie też się więcej nauczę. Wejdę między ludzi.

Matka musiała przyznać, że Stefka sama znalazła najlepsze dla siebie wyjście. U Lipczyńskich nie było dla niej żadnej przyszłości, a tu otwierało się życie — może trudniejsze ale pełne nadziei.

— Ja ci nie odradzam — rzekła. — Ja tylko chcę, żebyś dobrze wiedziała, jak to jest. Tam będą ceny niskie, ludzie się rzucą, będziecie mieli wielki ruch. Nie będziesz przesiadywać za ladą. Jeśli myślisz o korzyściach, to pomyśl, że ciężką pracą to sobie zdobędziesz. Nogi ci popuchną, ramiona omdleją. Będziesz miała takie troski, jakby to był twój sklep. Gdy spostrzeżesz, że towar wykupiony, że z fabryk nie nadchodzi w porę... — roześmiała się — gotowa będziesz własną matkę naglić, żeby już wzięła te sześć krosien!...

Umilkła, a potem spytała łagodnie.

— A czy ci nie żal Lipczyńskich? Czy to będzie ładnie, że ich tak zostawisz?...

Zapadła cisza. Stefka odwróciła głowę.

— Owszem, żal. Ale cóż z tego, mamo? Każdy myśli o sobie, oni też urządzają się tak, jak im korzystniej... Dobrzy to oni są! — szepnęła nagle z przekąsem — Dziurki nie zrobią, ale krew wypiją!

Matka patrzyła na nią długo i poważnie.

— Nie mów tak. To każdy potrafi. Przypomnij sobie, że jeszcze tak niedawno pani Lipczyńska z ust ci nie schodziła. Ciągle o niej mówiłaś: — A pani Lipczyńska to, a pani Lipczyńska tamto...

— To prawda — szepnęła ze zdziwieniem i żalem córka.

Może Lipczyńscy byli wtedy inni? A może to one tak się zmieniły? A może zmiany szły z samego życia, ze zdarzeń i okoliczności? Nie wiedziały, ale czuły też, że z dażdym dniem staje się to wyraźniejsze i decyduje o człowieku. Zaraz nazajutrz stało się tak właśnie w sklepie. Stefka załatwiała klientkę i siadając sięgnęła po gazetę. Na jednej stronie pełno było fotografii i raczej domyśliła się, niż odczytała, że to fotografie robotników, przeważnie młodzieży. — A, wyścig pracy — pomyślała lekko; odwróciła stronę tak, jak to zwykle robili Lipczyńscy i zabrała się do czytania odcinka powieści. Zaledwie zaczęła czytać, pani Lipczyńska powiedziała grzecznie, lecz cierpko: — Ja jeszcze nie zdążyłam wziąć gazety do ręki, podaj mi, Stefciu! — Zawstydzona Stefka podała jej z pośpiechem pismo. Lipczyńska już miała odwrócić stronę z fotografiami, gdy krzyknęła: — Ach, przecież to pani Michalska! — Spojrzała uważnie na dziewczynę i szepnęła: — Dlaczego mi nic nie powiedziałaś o tym?...

Stefka zbliżyła się zmieszana — i nie poznała swojej matki. Ta twarz, którą przywykła widzieć uśmiechniętą, miękką i niezdecydowaną, zgnębioną lub przejętą do głębi — ukazywała, jak maska z brązu, ukształtowana przez wielkiego artystę — myśl zdobytą przy ciężkiej pracy, pracy zarówno ciała, jak i ducha. Fotograf podchwycił ją, gdy unosiła się znad krosna i zanim zdołała się odwrócić. Nie było w niej żadnej miłej łatwizny, żadnego płochliwego wyrazu, tak jak nie było już żadnej łatwizny w niej samej. Czoło, policzki, podbródek, tworzyły gładkie płaszczyzny dwiema bruzdami od nosa do ust, które zasklepiały się twardo. Spoglądała z surową powagą, z jakimś nakazem podniecającym w spojrzeniu. Dziewczyna rozpłakała się nagle. Pani Lipczyńska milczała zagadkowo. I niewiadomo dlaczego, Stefka wiedziała teraz na pewno że już tu nie zostanie, nie zostanie, nie zostanie.

W kwietniu stanęła za ladą w domu towarowym. Nie była to tylko zmiana posady, a zupełna zmiana w jej życiu. Zanim zaczęła pracować, przeszła wraz z innymi pracownicami krótkie przeszkolenie, w którym objaśniano im, co to jest handel państwowy; nakreślono punkty i ilość domów towarowych, jakie powstaną, ścisłą łączność z fabrykami, z wytwórcami, których praca i wysiłek o tyle nie zostanie zmarnowany, o ile domy towarowe potrafią szybko i tanio obsłużyć ludność. Wysłuchała także wykładu, czym może być sztuka w życiu codziennym. Dotyczyło to zarówno komponowania wystaw, wyglądu sklepu wewnątrz, urządzenia mieszkań, ubrania i ozdób. Przychodziła do domu pełna zapału, pełna wiadomości, codzień wypełniona po brzegi czymś nowym i mówiła z zachwytem: — Ach, mamo! Żeby mama wiedziała!... Ja nie miałam pojęcia!... — po czym powtarzała matce wszystko, dokładnie, co porabiała tego dnia.

W tym okresie zaczęła chodzić do szkoły wieczorowej, mając już na myśli, że szybko przejdzie kurs, aby zdać do handlówki. Nie była już sama — grono takich samych młodych dziewcząt i chłopców stało się jej towarzyszami w pracy, nauce i zabawie.

Matka odwiedziła ją w sklepie, gdy sądziła, że już ruch jest mniejszy. Było jednak jeszcze wciąż tłoczno, przed każdą ladą ciągnęły się nieskończone i zagmatwane kolejki. Stanęła z boku i przyglądała się, jak jej córka odwraca się do półek, sięga, podaje wspina do góry, wypełnia kartkę bloku, znów sięga, krąży bezustannie, między klientami a towarem. W wypełnionych, natłoczonych salach panował upał, było duszno. Widziała spotniałą twarz Stefki, czuła jej omdlałe nogi i ramiona. Wszystko więc było tak, jak przewidywała. Nawet półki opróżniły się już zatrważająco, a więc produkcja nie mogła ustać w tempie. Ale wiedziała też, jak bardzo poszerzyło się i rozjaśniło życie jej córki.

Sprawdziła ceny: były nawet niższe, niż przy pierwszej kalkulacji.

Obok, wysoka pani, starannie ubrana i uśmiechnięta, przyglądała się także z uwagą wszystkiemu. Była to malarka, która przyjechała z Warszawy aby na własne oczy sprawdzić — jak to idzie?... Nie wszystkie rzeczy, które projektowała, zostały wykonane; były niedociągnięcia; nie wszystko wyszło tak, jakby chciała. Ale to dopiero początek.

Stefka wymknęła się, aby przywitać matkę. Trzy kobiety, tak ściśle ze sobą związane w pracy, trzy punkty doskonale zorganizowanego odcinka, stały przez chwilę obok siebie, wśród tłumu kupujących, który nic o nich nie wiedział.

Pola Gojawiczyńska

JERZY PUTRAMENT

LATO W GIŻYCKU (1)

Południowa część jeziora Lewentyn czyli Niegocin i okolice

Geograficzny plebiscyt

Wycinam w tekturze kwadratowy otwór o boku 10 centymetrów, przykładam na chybił trafił do niemieckiej mapy sztabowej 1:100.000 z roku 1922 (Kastenburg, Arys, Lyck, Oletzko) i odczytuję nazwy miejscowości. Powstaje w ten sposób swoisty plebiscyt geograficzny.

Pierwsza próba: **Meierei, Schlick, Gablick, Kaltken, Schönfelde** — razem pięć nazw niemieckich. **Szczeczynowen, Pietraschen, Gaylowken, Dobrowolla, Czarnowken, Gemballen, Orzechowen, Panistrugga, Goklowken, Alt Jucha** — razem dziesięć nazw polskich, podanych oczywiście według pisowni niemieckiej mapy. Jedna nazwa jest niejasna: **Scheuba.** Nie znam niemieckiego, może trochę w tym podziale naplątałem.

Biorę inny odcinek mapy — południową część jeziora Lewentyn czyli Niegocin i okolicę. Na tych stu kilometrach kwadratowych znajduję takie nazwy: **Strzelzen, Bogatzewen, Rydzewen, Kleszewen, Ruhden, Jagodnen, Staszwinn, Wierczeyken, Przykopp, Kl. Wolla, Paprodtken, Szelonne Bruch, Kulla Brücke, Woynowo-See, Marczina-Wolla.** Razem 15 nazw pozochadzenia polskiego. Jedna nazwa być może jest niemiecka: **Truchsen.** Jedna wydaje się litewska albo pruska: **Saiten-See.**

Nie odkrywam żadnej Ameryki, wiem o tym dobrze O śladach polskości na Mazurach pisali już i lepsi lingwiści i lepsi znawcy tego terenu. Wydaje mi się jednak, że nasz przeciętny czytelnik nie orientuje się w rozmiarach zalewu polskiego na tych ziemiach, że traktuje artykuły na ten temat trochę jak propagandową lipę Niechże sobie weźmie jakąś dobrą niemiecką mapę sztabową i poczyta nazwy. Pomijając już efekt moralno-polityczny, takie zajęcie przysporzyć może innych wzruszeń, od poznawczych do lirycznych włącznie.

Można by wyróżnić na tym terenie trzy kategorie nazw: niemieckie, polskie i bałto - słowiańskie. Pierwsze są najczęstsze przy dużych miastach lub, na odwrót, przy dworach, willach etc. Są na ogół sztuczne, pretensjonalne, zdawkowe. Pod Angerburgiem (Węgorzewo) znajdujemy dworek „Sanssouci". Gdzie indziej: Amalienhof, Louisenhof. Niemiec, który zamieszkał te ziemie nie potrafił do mazurskiej przyrody podejść inaczej niż jako turysta, podziwiający jej urodę jakby ją widział w oleodruku. Stąd te wszystkie: Grünwalde, Schönfelde itd. Porównajcie z tym dobitność, trafność pomysłowość, humor — nazw polskich. Jezioro **-Wonsz** naprawdę wygina się wężowym ruchem w bagnach, jezioro **Rhog** swym kształtem przypomina turzy róg. Jezioro **Kuchenko** jest maleńkim jęzorem, ostro wcinającym się w brzeg dużego jeziora Talten. Trzeba było zrosnąć się mocno z tą ziemią, pokochać ją, nie umieć się od niej oderwać, aby zdobyć się na to spieszczenie. Gdzie indziej malutkie okrągłe jeziorko zwie się **Koczolek-See.** W nazwach osiedli nie brak również tego elementu emocjonalnego. Kilkakrotnie spotykamy np. **Przytullen,** jest wieś **Ogonken,** jest inna, która wydaje się być ojcowizną naszego znakomitego realisty: **Motten**

Polskie nazwy przytłaczają przy wioskach, są bardzo częste przy jeziorach, wzgórzach, bagnach. Wyjątkowo zjawiają się przy dużych miastach (Oletzko-Margrabowa): te musiały ulec germanizacji w pierwszym rzędzie. Germanizacja zresztą szła dalej i głębiej, tworzyły się dziwaczne mieszańce, przymiotnikom polskim niemczono końcówki: (Krzywer-see), lub dodawano niemieckie genus proximum, uzgadniając, albo i nie, rodzaje. Stąd na tej samej zatoce Mamr jest **Sossnowi Insel i Dombowa Insel.** Albo **Kulla Brücke** (obecnie nazywają to **Kulabryk). Szelonne Bruch** itd. Czasem na odwrót, przekładało się differentia specifica: ze zwykłej Wólki powstawała **Kleine Wolla.** Charakterystyczny jest ten opór polszczyzny. Nawet rozbity na elementy składowe pień polski: Wola — utrzymał się przecież. Klasycznym przykładem żywotności tego właśnie pnia jest **Hermanowolla.** Typowo niemieckie imię, trafiwszy na Mazury nie zamieszkało bynajmniej w jakimś „burgu" czy „dorfie", musiało przyjąć „wolę" w dodatku straciło jedno ze swoich **n.** W ten sposób powstał podwójny kompromis: polska **wola** figuruje w postaci zniemczonej **wolla,** niemiecki **Hermann** stał się spolszczonym **Hermanem.**

Następnym stadium procesu jest niemiecki przekład całej nazwy. Czasem nie stać ich jednak było na wyeliminowanie natychmiastowej wersji polskiej. Stąd: **Dlugi oder lange See.** No, a dalej, to już tylko właśnie różne Amalienhofy i Schönfeldy.

Niemcy nieźle sobie poradzili z ludźmi. Wielostronny napór ekonomiczny, religijny, polityczny, policyjny, błędy polityki polskiej, furia hitleryzmu etc — poczyniły wielkie spustoszenia wśród Mazurów, o tym wiedzą wszyscy. Ale z ortografią polską nawet Niemcy nie mogli się uporać. Straszliwy chaos ortograficzny panuje na niemieckich mapach sztabowych. Obok niemieckiej transkrypcji występuje polska, pod ma w wersji fonetycznej **(Wonsz, Okrongle).** Najczęściej jednak jest to po prostu dzika mieszanina pisowni i wymowy i polskiej i niemieckiej. Najgorzej wychodzili na tym sami Niemcy. Spróbujcie z niemiecka wymówić takie np. dziwolągi: **Sczierbowen, Sczyballen, Mnierczeiewen, Szczeczynowen.** Obok pejzażu i klimatu była to jeszcze jedna obcość i trudność pobytu na tych ziemiach, jeszcze jedna racja, żeby przy okazji wywiać na przytulny i swojski niemiecki zachód.

Trzecią kategorię nazw najczęściej spotyka się nie przy osiedlach ale w terenie. Szczególnie często są to nazwy jezior. Nie znając języków bałto-słowiańskich mogę o tym pisać tylko obwarowawszy się uprzednio wzelakimi zastrzeżeniami. Kilka wsi wydaje się mieć nazwy litewskie: **Numeiten, Dowiaten.** Także **Schwentainer-See.** Natomiast takie np. **Tayta-See, Skars-See, Sawinda-See, Lenkuk, Gdeden, Kirsaiten-** — są prawdopodobnie ostatnimi śladami Prusów, pierwszych mieszkańców tego kraju — pobratymców Jadźwingów, Litwinów i Łotyszów. Niektóre pnie występują w podwójnej postaci: obok pruskiego pnia z niemiecką końcówką: **Talten,** jest spolszczona nazwa **Taltowisko.**

Gdybyśmy nie mieli żadnych dokumentów historycznych tylko ogólne wiadomości językoznawcze i tę właśnie niemiecką mapę sztabową, moglibyśmy w ogólnych zarysach odtworzyć dzieje tego kraju, zamieszkałego przez dzikie, leśne szczepy pruskie, które nie zdążyły wytworzyć sieci osiedli, wyparte przez zbrojny najazd niemiecki. Moglibyśmy wyśledzić na mapie dzieje państwa krzyżackiego, niemieckiego przy zamkach obronnych, zalanego przez osiedleńców polskich od południa i litewską penetrację od wschodu. Nazwy miejscowości przechowały dosyć wiernie nie tylko przypływy i odpływy narodowe na tych ziemiach ale i zbieżność podziału narodowościowego z podziałem klasowym. Wsie były polskie, burgi i hofy — niemieckie. Prusowie zachowali do końca trochę jezior i bagien.

Igry »onomastów«

Zdawało by się, w takim kraju, po przejęciu go przez władze polskie, tysiąc spraw było by piekielnie trudnych, wymagających energii, inteligencji, dobrej woli, odwagi, poświęcenia — i jedna zupełnie łatwa. Ta jedna — to oczywiście przywrócenie Mazurom nazw polskich. Poza parudziesięcioma niemieckimi nazwami miast (z nich większość posiadała już utartą wersję spolszczoną np. Olsztyn) wystarczyło by wziąć ową niemiecką sztabówkę, usunąć z niej byki ortograficzne i dodać polskie końcówki. Amalienhofy bowiem i tak już zniknęły przy pomocy szabrowników.. Kto jednak tak sądzi, nie wie o istnieniu potężnej mafii, której nazwa też zresztą nie jest ostatecznie ustalona.

Mój przyjaciel, B., włodarzący na jednym z księstw Krzywoustego na Zachodzie, nazywa ich **„onomastami".** Możliwe, że w wersji naukowej zwać się powinni **„nomotopologami", „nazewnikami"** lub czymś w tym rodzaju. Ich działalność w Polsce traktowana jest żartobliwie, opiekują się nimi zwłaszcza humoryści. Rzeczywiście, ledwo pióro dotknęło tego tematu, już je porywa żwawy i beztroski nurt felietonu. Zaiste, difficile est satyram non scribere. Trzeba się jednak zmusić do powagi. To, co ci panowie wyczyniali i wyczyniają zasługuje na jakąś komisję specjalną do spraw kultury. Bałagan w tej dziedzinie niejednokrotnie wkraczał już na tereny szkodnictwa politycznego.

Spadkobierca Krzywoustego opowiadał mi o historii z transportem repatriantów. Przy wjeździe do Polski dano im przydział, dajmy na to, do Pyskowic. Zanim jednak transport dojechał na miejsce, onamaści uradzili zmianę nazwy z Pyskowic na Buziowice. Repatrianci podnieśli bunt, nie chcieli w Buziowicach wysiadać: my chcemy do Pyskowic, nie pozwolimy się nabić w butelkę, tam na pewno jest lepiej.

To, co się dzieje w uzdrowiskach dolnośląskich, przekracza zdolność rozumienia człowieka normalnego. Hece z Wieńcami — Solicami — Szczawnami — itp. zdrojami, psychiatra powinienby zakwalifikować jako przejawy zboczenia umysłowego, np. onomastomanii, gdyby, oczywiście w grę nie wchodziła zła wola. Sądzę osobiście, że i tego tam nie brak.

Wyobraźcie sobie, ile bałaganu i kosztów każda zmiana miejscowości powoduje. Przemalowanie setek napisów i szyldów, zmiana tysięcy pieczątek, zmiana nazw różnych lokalnych przedsiębiorstw itd. itd. Każda taka zmiana odbija się na całym kraju — bilety kolejowe, mapy, rozkłady jazdy stają się nieaktualne, pocztowcy wszędzie klną, administracja pism również, turyści zaczynają błądzić. A pośrodku siedzi kupka onomastów. Zacierają ręce, ich plan sześcioletni jest już przekroczony.

Nie wiem, w czyjej kompetencji są onomaści. Sprawy wewnętrzne? Ziemie Odzyskane? Oświata? Kultura i Sztuka? Struktura nowej Polski ciągle jest zmienna, resorty rozpierają się i wydzierają sobie takie czy owakie prerogatywy, sfery wpływów, kolonie. Decyduje przy tym nie logiczne przeznaczenie danej instytucji, ale jej żywotność. Spółdzielnie wydawnicze urządzają wyścigi kolarskie, międzynarodowe zjazdy, sprzedaż wody sodowej. Centrale przemysłowe organizują wyższe uczelnie. Biada słabym! Ani się obejrzą, jak zostaną rozdarci na kawałki. Ta darwinowska walka o byt skończy się „przeżyciem najstosowniejszego". Za parę lat zostaną na placu boju „Centrala Węglowa" i „Czytelnik". Może by Borejsza już teraz zajął się onomastami?

Na Mazurach ich harce spowodowały np. zmianę **Łuczan** na **Giżycko.** Za Niemców miejscowość ta zwała się **Loetzen.** Nie widzę racji, aby fonetyczne podobieństwo także należało tępić. Widocznie jednak onomaści sądzą, że niemczyznę tu należy wyrywać z korzeniem. Może to na cześć Gizewiusza wybrali Giżycko? Diabli ich wiedzą.

Faktem jest, że mieszkańcy tego miasta mają jeszcze jedną rację, aby sarkać. Prasa olsztyńska też im wtóruje. Dotąd tutejsza spółdzielnia nazywa się „Łuczanka", klub sportowy — „Łuczanin". Nie dziwię mu się. Spróbujcie się nazwać „Giżycczanin". Sama taka nazwa wystarczy, aby przegrać wszystkie mecze.

Inny casus. Dom wypoczynkowy „Społem" mieści się w **Rucianach,** ale stacja kolejowa nosi napis **Ruciane,** w rozkładzie jazdy statków figuruje to jako **Rudziany,** gdzie indziej **Ruczany,** jeszcze gdzie indziej **Rudczany.** Nie mogę powiedzieć, jak się to zwało za Niemców, moja sztabówka właśnie w tym miejscu jest przetarta.

To samo z **Sępopolem,** który figurował już w czterech czy pięciu wersjach.

To samo z dziesiątkiem innych nazw. Było by ciekawe usłyszeć od onomastów racje tych igraszek. Niemniej ciekawe było by obliczyć, ile to kosztowało pieniędzy państwo i instytucje, nerwów zaś — zwykłych ludzi.

Ponieważ nie sądzę, aby Borejsza już w tym roku potrafił ukrócić swawolę onomastyczną, inne zaś czynniki okazały się w tym względzie całkowicie niedołężne, proponowałbym za wczasu w planie inwestycyjnym wstawić kilka milionów, aby pokryć koszta tej zabawy w roku przyszłym.

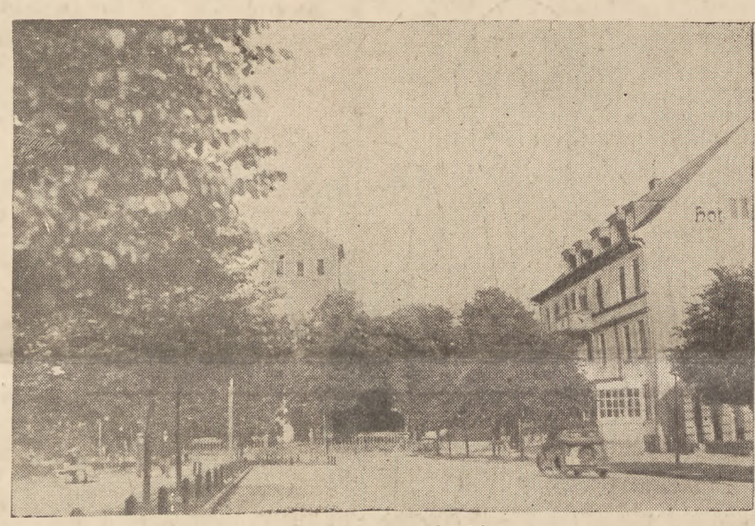

Plac Grunwaldzki

Obrady intelektualistów

Pablo Picasso

Jose Giral

F. Kokalls

Największy w Europie...

Wróćmy do Giżycka. Jest to miasteczko powiatowe, liczące około 12 tysięcy mieszkańców (jak na Mazury to sporo). Plac Grunwaldzki pośrodku, wysadzony lipami, pełen kwiatów na klombach, które nie tylko kwitną, ale i pachną. Śródmieście jest wypalone. Dwie ulice pod kątem prostym — Stalina i Warszawska — tworzą szkielet miast, porośnięty mniejszymi uliczkami, ochrzczonymi imionami przeważnie różnych generałów. Ta generalska mania poszła tak daleko, że i zwycięzca spod Prostek, hetman Gosiewski też tutaj figuruje jako generał.

Ale istotą Giżycka nie jest miasto, jest jego otoczenie. Giżycko siedzi półkolem na północnym brzegu jeziora Lewentyn , okrągławej masy wodnej, długości 7 — 8 kilometrów, szerokości około 5 kilometrów. Kanał wysadzony topolami przecina kilometrowy przesmyk, wpadając do południowej odnogi jeziora Mamry. Za kanałem, w dzielnicy, którą Niemcy zapełnili domkami oficerskimi i koszarowymi blokami, wśród starodrzewia, przy wzgórzu jest jeszcze jedno, maleńkie jeziorko, nie połączone z tamtymi. Pięć kilometrów na zachód leży nieduże jezioro Wilkasy, przydzielone rodzinie dzikich łabędzi. Bliżej jest długie i wąskie jezioro Tajta. Lewentyn na południu przechodzi w Sajtę, które z kolei przez Kulabryk wyciąga się na kilka kilometrów jeziora Jagodnego (Jagodner-see), aby kanałem, jeziorem Kotek i paru dalszymi kanałami dotrzeć do Taltowiska i Talt. No, a Talty, jak wie każde dziecko, to wąska i długa odnoga Śniardw.

Nie podaję innych, mniejszych odgałęzień tego jeziornego kompleksu. Dosyć, że główny szlak, od Węgorzewa do Rucian, obsługiwany przez statki „Żeglugi" liczy 90 kilometrów, że prócz tego na północ Węgorzapą można było dotrzeć do Królewca, na południe — do Warszawy i dalej. Poza daleką Finlandią i jeziorami Karelskimi (może Szwecją) jest to największy w Europie system jeziorny. Jest to zarazem najwspanialszy, najczystszy w typie pejzaż polodowcowy.

Jerzy Putrament

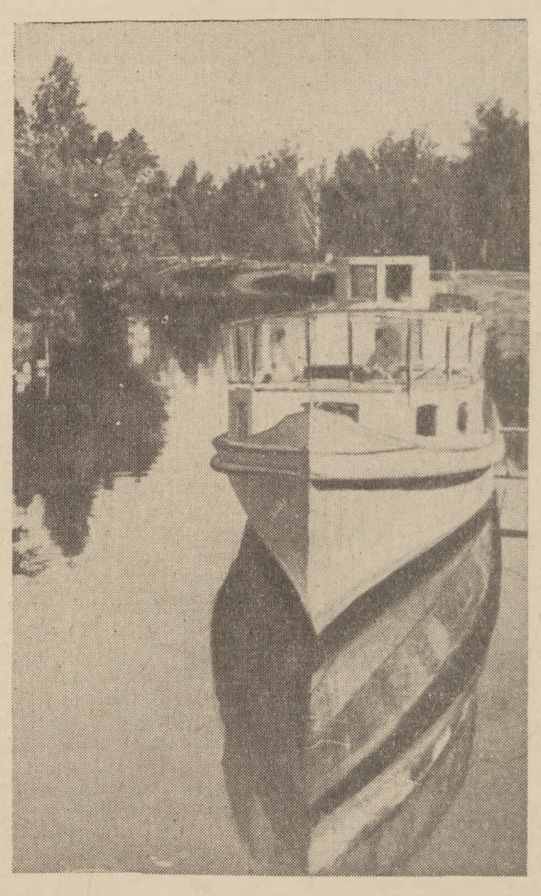

Kanał w Giżycku

▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪ Książki ▪

PROZA

„OBOK ZAGŁADY"
Tadeusza Łopalewskiego

Powieść, Warszawa, »Książka«, 1948, str. 241 i 3 nl.

Powieść ta jest historią rodziny inteligenckiej, która przeszła przez powstanie warszawskie i wszystkie po nim następujące koleje — bez szwanku. Jedna z niewielu. Stratę niepowetowaną poniósł tylko ojciec, profesor Runiewicz, często przed powstaniem powtarzający zdanie, że nauka powinna trzymać się jak najdalej od polityki. Dopiero gdy wraz z walącym się piętrem, na którym mieściło się mieszkanie Runiewiczów, przepadła nie drukowana jeszcze jego praca „Słownik etymologiczny nazwisk polskich", dorobek całego niemal życia, zaczął myśleć także o otaczającym go świecie.

W książce tej, zajmująco napisanej, spotykamy sporo trafnych spostrzeżeń, plastyczne opisy walk i wyraziste, żołnierskim humorem okraszone epizody, jak zaciągnięcie się młodego poety do partyzantki. Żona Runiewicza, córka, zięć Janecki, walczący jako powstaniec, to postaci dobrze zarysowane i charakterystyczne.

Ale najlepiej postawił autor samego profesora Runiewicza. Nie jest rzeczą przypadku że on, który przed powstaniem nie umiał znaleźć nawet z najbliższymi sobie ludźmi wspólnego języka, zmienia się, choć stary.

Przez długie lata cieszył się, że tworzy cenny słownik, trudził się nad nim i mozolił — z satysfakcją i przyjemnością. Aż spostrzegł, że nie wystarczy samemu pracować, z najlepszą choćby wolą.

Przyszedł kataklizm dziejowy i zniszczył dzieło. Co teraz ma z tego, że je całymi latami budował, skoro nie włączył się w szeregi ludzi budujących pokój, skoro nie pracował nad tym, aby zaradzić wojnie?

Tak w nieprzezornych ludzi nieszczęście uderza nagle i niespodziewanie.

Można by powiedzieć, że niedostatecznie wyzyskał tu autor, zaznaczający w pierwszych rozdziałach powieści wrogość profesora wobec polityki, sposobność do podkreślenia, że najwyższy czas, aby także ludzie nauki, jak Runiewicz, pojęli i zatroszczyli się o to, co się dzieje na ziemi, gdzie są wrogowie praw człowieka i narodów, i jak należało by zabezpieczyć możność pracy, także ich samych, i zachowania jej owoców.

Aby ludziom było lepiej, nie wystarczy filozofia egoizmu, choćby w największym wysiłku nad najwspanialszym dziełem skupiona. Profesor Runiewicz myślał tylko o swym dziele i przegrał je. Tak niejednemu z uczonych wielkie wydarzenia naszych czasów zbyt późno uprzytomniły współzależność zjawisk politycznych, gospodarczych i kulturalnych, wykazały, że ład, spokój i prawdziwy postęp jednostki związany jest najściślej z ładem, spokojem i postępem narodów i całej społeczności ludzkiej.

Janina Brzostowska

„KLUCZE BOŻEJ KLEMANTYNY"
Józefa Mortona

Warszawa, Sp. Wyd. »Książka«, 1948 str. 139.

Pierwsze, co się rzuca w oczy przy lekturze nowego tomu opowiadań Mortona, to jakaś przesadna stylizacja leksyki i składni „pod wiejskość". Co krok pełno tu jest, jak na początku tytułowego opowiadania „i dziewuch przylepnych, roześmianych, które oczami a przymilaniem prosiły o taniec i miłość, i gorzałki, i towarzystwa, i grania, i śpiewania, iście weselnych pohukiwań..."

Tego rodzaju styl, stwarzając „ludową" atmosferę książki, winien zapewne, w zamierzeniu autora, kompensować braki fabularno-charakterologiczne. Skutek został jednak osiągnięty wręcz przeciwny. Proza Mortona najsilniej przemawia do czytelnika w tych właśnie, niestety niezbyt licznych, ale prawem kontrastu wyraźnie występujących na tle całości epizodach, w których autor zrezygnował z wsiowego ozdóbkarstwa na korzyść prostoty i lakoniczności relacji. Takie miejsca są w skądinąd dość naiwnie rozwiązanym opowiadaniu pt. „Łapanka", w bardzo dobrych „Butkach", w dydaktycznych „Więzach" i „Gazetce". Przykładem niedobrej stylizacji są obok wymienionego opowiadania tytułowego, następne z kolei „Czarownice" i najbardziej rozbudowane dramatycznie „Franusiowe szczęście". Ta ostatnia nowela, jedyna w tomie oprócz „Więzów" umieszczona tematycznie w nowej rzeczywistości, jest w dodatku dość niewyraźna ideologicznie. Postać syna chłopskiego, który w Polsce ludowej został oficerem i chwali się w liście, że „prawdziwi panowie, co przed wojną nawet patrzeć by na mnie nie chcieli, teraz mi rękę podają, jak równemu", jest mało przekonywająca i nie wzbudza sympatii czytelnika. Rozpacz rodziców po zabiciu przez bandę syna — jedynaka jest niewątpliwie prawdziwa, ale jej opis nie może stanowić, jak u Mortona, jedynej racji bytu opowiadania.

Łatwo odnieść wrażenie, że ma słuszność matka Franusia, wypominająca mężowi „Nie powinieneś go był oddawać w oficery!"

Wiktor Woroszylski

Kurtyna w Sulejowie

Jesienią z naszego kraju odlatują ptaki przelotne, latem natomiast krążą po ojczyźnie ptaki rzadko oglądane na jej obłokach. Tych ponad Sanokiem, Wieluniem, Koronowem, Kłodzkiem. Obrazy, obrazy. Wystawy objazdowe. Przede wszystkim Matejko, ale inni jego bracia po pędzlu i oleju również. I zdarza się, że obraz przysiądzie na gnieździe, gdzie nawet nie marzono o tak wspaniałym okazie, chociaż o [illegible] marzono.

Zbyt metaforycznie? Już zaczynam. Ubiegłych wakacji usłyszałem taką historię. Kiedy matejkowski cykl „Dzieje cywilizacji w Polsce" wędrował po województwach centralnych, zawadził również o Sulejów nad Pilicą. Było to w lipcu zeszłego roku. Płótna rozgościły się w miejscu najdostojniejszym i najbardziej publicznym, jakie Sulejów posiada pośród urządzeń kulturalnych: sala teatralna w budynku straży pożarnej. Zbudowana nader solidnie. W betonowe ściany trudno było wbić haki, zresztą nie chciano pozwolić, ażeby nawet dla Matejki ściany te podziurawiono. Jako partnera znalazły jego obrazy jedyne świeckie dzieło sztuki, którym Sulejów rozporządza: kurtynę, gdzie jakiś — jak Tuwim powiada w „Kwiatach polskich" „Rafael Rawy i Studzianny" wyobraził piękną symboliczną brunetę w pozie stojącej na tle obłoków. Matejko nie zgorszył się tym spotkaniem, a bruneta?

Właśnie o tę brunetę chodzi. Minionych wakacji jej spotkanie z mistrzem Janem traktowaliśmy wraz ze świadkiem tego faktu jako psikus z gatunku tych, które rzeczywistość często, a nie wiadomo dlaczego urządza. Tych wakacji pośród utworów pretendujących do nagrody „Odrodzenia" znalazła się niezwykła książka: pamiętnik Łucjana Rudnickiego „Stare i nowe". Zachęcony przez Kazimierza Wykę byłbym ja przeczytał jednym tchem, gdyby nie to, że już przed setną stronicą straciłem na chwilę oddech. Ze zdziwienia i z radości. Ujawniła mi się bruneta, a psikus nabrał sensu.

Opowiada Rudnicki o swoich rówieśnikach, sulejowskich sprzed pół wieku, którzy mogli byli zostać artystami. Jakiś Mietek Kowalski, co w innych warunkach wyszedłby na aktora, jakiś Klimek Wilde, co świetnie rysował karykatury. Za chwilę ów Klimek Wilde przestał być dla mnie „jakimś". Bo czytam:

„W kilka lat później, po roku 1905, gdy starsze pokolenie realistów... zorganizowało straż pożarną i wzniosło budynek dla niej z salą widowiskową, Mietek i Klimek byli inspiratorami teatru amatorskiego. Pierwszy jako dyrektor, aktor i reżyser, drugi jako dekorator. To Klimek Wilde namalował olejno sulejowskiej strażackiej widowni piękną kurtynę przypominającą Siemiradzkiego. Podziurawili ją Niemcy, a obecnie władze sulejowskie nie doceniają jej historycznej ważności. Ta kurtyna to symbol tego zwrotnego momentu w życiu kulturalnym Sulejowa i całej b. Kongresowej Polski, w którym teatr i muzyka wegetujące dotąd w kościele, na weselach i chrzcinach, zdobyły własne niezależne locum. Obywatele od Sztuki i Kultury, nie zapominajcie o opuszczonych, ziejących pustką widowniach teatralnych w Sulejowie i wszystkich innych Rzeszotowach".

Oto dlaczego bruneta z Sulejowa spotkała się w roku pańskim 1947 z Janem Matejką. Oto jak w Sulejowach marzy się o skrzydłach. Ale dlaczego o tym piszę? Łezka nad Jankiem muzykantem, nad Klimkiem malarczykiem, po raz nie policzyć już który uroniona? Nie, drodzy. Po prostu na podstawie doświadczeń uzyskanych z festiwalu zespołów świetlicowych toczy się w prasie literackiej dyskusja, czy cokolwiek warta jest nie kierowana, nie odgórna inicjatywa w pracy artystycznej, w danym wypadku teatralnej. Że prowadzi ona do szmiry, do kiczu, do banału dowodzi np. Jacek Bocheński w artykule „O teatrze świetlicowym, wyspie Guam i dobrych chęciach" (Kuźnica, nr. 33).

Bocheński na pewno w teorii i w 90 procentach poszczególnych przypadków ma rację. Tylko obawiam się, że ta odgórna racja gotowa stłamsić zupełnie naiwne, niedołężne i niezdarne często, ale spontaniczne korzonki wzrostu kulturalnego. Dla szpetoty, kiczu i grafomanii trzeba — wydaje mi się — wynaleźć jakieś sito, jakieś miejsce transfuzji tych objawów na zjawiska czystsze artystycznie. Bo tylko u zawodowego grafomana, tylko u nagminnego i fachowego pacykarza czystość intencji artystycznej całkowicie jest zabita przez względy, które nic wspólnego nie mają z prawdziwym dyletantem artystycznym. Niedołężnym w osiągniętym wyrazie, godnym uwagi w zawartej w nim intencji. Dyletanta należy chronić jak limbę, jak świstaka, chociaż ani tartaki z limby, ani futrzarze ze świstaka nie mają pożytku. A historię kurtyny w Sulejowie opowiedziałem tylko dla argumentu w tej sprawie.

Opowiedziawszy mógłbym skończyć, ale — gawędzimy. Deszcz od wielu godzin przesiewa się przez gałęzie wiązów i dębów za oknem, słońce o samym zachodzie usiłuje zagrać wśród obłoków. Słyszę, że wyglądają jak na sulejowskiej kurtynie. Więc o jednej jeszcze kurtynie opowiem, choć zdaje się już nie istnieje. W moim rodzinnym miasteczku jedynym świeckim dziełem sztuki była sala barwniejsza od sulejowskiej. Różne się w niej odbywały imprezy: i jasełka, i pobór do wojska, i bal mieszczański na Sylwestra i Pola Negri i Asta Nielsen na ekranie w suchym deszczu starego, niemego filmu, tak gęstym, jak ulewa dzisiejsza.

*Mówmy o sali. Strop podzielony belkowaniem na kasetony, w każdym kwadracie herb, najczęściej fantastyczny, ściany obleczone w rozłożyste, obfite, secesyjne bukiety kwiatów nigdzie nieoglądanych na rzeczywistych łąkach. Wyglądały trochę jak wachlarze i pióropusze straży papieskiej, a fantazyjne kosze, w których tkwiły, ściskały je mocno niczym gorsety kobiet z okresu powstawania tej sali. Ostatnie lata Franciszka Józefa i Anny Csillag *). A kurtyna! Urocza dama z profilem w prawo wznosiła płonący kaganek, kilkoro dzieci tuliło się do jej monumentalnych szat, zapatrzone w wyprężone ramię osoby o nosie greckim w wydaniu miasteczkowym. Jestem stary koń, ale ilekroć przesuwa mi się w pamięci zdanie Słowackiego o kagańcu oświaty niesionym przed narodem, profil owej damy towarzyszy mu nieuchronnie. A herby na stropie! One to sprawiły, że zblazowanym okiem spoglądał pierwszy raz smyk kilkuletni na uherbione sklepienia krakowskich Sukiennic. Taka to była i ciągle trwa sala herbowa (jej miano oficjalne) w mieście Krzeszowice.*

Do czego znów ten argument? Do tego, że chociaż podejrzewam, iż skomplikowana, wyspiańsko - secesyjna linia owych bukietów na ścianach jakoś się odbiła w mojej nieraz zbyt zagmatwanej składni (niniejsze zdanie najlepszym dowodem) i nieraz tę linię muszę u siebie prostować lub zgoła tępić — chociaż więc wyraźnie się odbiła, grafomanem nie zostałem. A w dojrzalszym wieku Wyspiańskiego jako malarza też nie pokochałem, chociaż bardzo rozcieńczona woda po kisielu z jego artystycznej kuchni z przyprawą à la Procajłowicz była pierwszym i długoletnim napojem dziecinnych i sztubackich lat.

Czyli mówiąc medycznie, oglądany za młodu kicz nie wiele zaszkodził. Bo trzeba pamiętać, że naiwna i dyletancka sztuka bywa zazwyczaj odskocznią dla doznań wyższego rzędu, zwłaszcza w miarę rozwoju z wiekiem, że szkodnikiem jest zaradny technicznie, ale zły i fałszywy artysta, ale nie jest nim niezaradny dyletant. Trzeba wreszcie pamiętać o ostatnim, dla mnie przynajmniej, pewniku: bardzo cenię monumentalną postać Wandy Telakowskiej, ale nie wierzę, ażeby udało się jej stworzyć wzór łóżka o tak sterelizowanych estetycznie kształtach, które by można jako cudowny balsam (jest na wszystko a niczego nie leczy) zaaplikować każdemu małżeństwu sprawiającemu sobie nową sypialnię. Ludzie rozmaicie lubią sypiać, a jeszcze bardziej rozmaitego piękna pragną doznawać.

Dlatego wnoszę o pobłażliwość dla wszystkich mających jeszcze powstać kurtyn w Sulejowie. „Ludzie pragną sztuki nawet na głodno, a z czasem, gdy zacznie bość chleb, mogą wyższe potrzeby zamienić na zadowolenie niższego rzędu z wielką stratą dla kultury" — pisze Łucjan Rudnicki. Wierzę mu, ponieważ pochodzi z Sulejowa.

kjw

*) Anna Csillag — osoba mityczna przynależna do obyczajowości około 1900 roku, wyróżniała się niezwykłą długością włosów wyhodowanych za pomocą własnego sposobu, który za niewielką opłatą każdemu zdradzała. Oglądać ją dzisiaj można na okładkach „Tygodnika Ilustrowanego" z owej epoki, a jako ozdobnik obyczajowo-wspomnieniowy występuje w książce Brunona Schulza „Sanatorium pod klepsydrą". Obywatelka austro-węgierska.

JANINA BRONIEWSKA

O CZŁOWIEKU KTÓRY SIĘ KULOM NIE KŁANIAŁ

str. 120

„PRASA WOJSKOWA"

Notatnik muzyczny

„Swantewit" Perkowskiego w wykonaniu zespołu Opery Poznańskiej

W pełni „sezonu ogórkowego" wpadłem w centrum twórczego wysiłku i nie byle jakiej pracy, którą tchną imprezy opery i baletu Opery Poznańskiej. Cały ten zespół, wraz z personelem administracyjnym i technicznym, orkiestrą i dekoracjami zjechał latem do Warszawy, by pokazać w stolicy „Carmen" i „Straszny Dwór", „Aidę", „Toskę" i „Eugeniusza Oniegina" Czajkowskiego.

Lecz na czoło wszystkich tych imprez wysunąć trzeba balet Piotra Perkowskiego. Kreacja nowego dzieła polskiego wymaga bowiem pracy twórczej nie tylko ze strony kompozytora, lecz i wszystkich odtwórców i wykonawców. Od dyrygenta, reżysera, dekoratora, korepetytorów, tancerzy, muzyków i personelu technicznego nowe takie dzieło wymaga innego wysiłku niż powtórzenie „Toski".

Barbara Bittnerówna

Widząc sumienną pracę w czasie prób i rezultaty jej na premierze warszawskiej bez wahania twierdzę, że całość tego spektaklu jest osiągnięciem poważnym i na wysokim artystycznym poziomie, z którego zespół poznański może być dumny.

O poznańskiej premierze „Swantewita" pisał już w numerze 27 (188) „Odrodzenia" z dnia 4 lipca Zbigniew Turski, w przeddzień otrzymania wiadomości o swym złotym medalu olimpijskim. Turski zajął się specjalnie muzyką Perkowskiego. Od tego czasu mnóstwo artykułów poświęconych temu dziełu ukazało się w naszej prasie. Jeśli mam coś do nich dorzucić, to muszę się odosobnić, wysiąść na wyspie wspomnień i wrażeń istotnie odniesionych przy pierwszym zetknięciu z tą muzyką, by odnaleźć to, co mnie wtedy spotkało, a nie cudze o tym formułki.

Lecz analogie i cudze zdania tak się już pomieszały z własnymi wrażeniami, że mimo woli wkradnie się tu ich trochę, bez — osobistej zresztą, polemiki.

Pierwszy obraz „Swantewita" jest istotnie, jak to podkreślono, bardziej „statyczny" niż drugi i trzeci. Perkowski — kompozytor wiąże się ściśle z muzycznym impresjonizmem, a przez ten z romantyzmem, podobnie jak Szymanowski, lecz już poprzez Roussela i Ravela, autora „Dafnisa i Chloe". Perkowski jest na naszym horyzoncie muzycznym twórcą, dla którego muzyka piękna i poetyczna, przyjemność zmysłu słuchu, jest rzeczywiście i szczerze impresją, wrażeniem, szeregiem obrazów i wzruszeń dźwiękowych. Mało u kogo tak dosłyszalny jest ten pochód i zestawienie tkaniny wrażeniowej jak u Perkowskiego. Szczerość jest tu bezwzględna, autor tak słyszy, a słyszy precyzyjnie i wie czego chce. Dlatego odpieram zarzuty eklektyzmu i jakiejś przypadkowości w konstrukcji. „Swantewit" miał być taki jaki jest, precyzyjnym wyrazem intencji swego autora. Pewna statyczność rytmiczna pierwszego obrazu rozwija się logicznie w następnych aktach i może być uważana za sukces, a nie stawiana jako zarzut. „Swantewit", jest jednolity i posiada wyraźne i wybitne oblicze swego autora, co uważam za wielki jego sukces.

Pojęcie baletu może być rozmaite. Zwolennicy „czystego tańca" domagają się muzyki tanecznej o wyraźnym konturze rytmicznym. Perkowski pojął „Swantewita" raczej jako pantominę i tak to też ujął pod względem choreograficznym Jerzy Kapliński. Sukces jego uważam za zupełny, choć można by dyskutować nad szczegółami, podobnie jak można się spierać z dekoratorem i projektodawcą kostiumów, Andrzejem Stopką.

Kapliński wydobył charakter tej pantominy, ograniczając stronę taneczną do szeregu ożywionych ruchem obrazów i scen. Na drodze tej, możliwości są nieograniczone. Fantazja Kaplińskiego wykazała tu wielkie bogactwo. Technicznie można jeszcze zespół tancerzy bardzo podciągnąć, zwłaszcza gdy chodzi o dyscyplinę grupową. Barbara Bittnerówna w roli dziwożony góruje wielkim opanowaniem ciała. Jej gesty, to naprawdę taniec i Bittnerówna nawet przy skąpym ruchu „zawsze tańczy". Jeśli dodamy do tego wiele uroku i wielką jego świadomość sceniczną, co równa się pracy i osiągniętej przez nią prostocie, to uważać możemy Bittnerównę za pierwszoplanową dziś gwiazdę baletową.

Bogusław Stańczak, jako piękny młodzian, Leokadia Zienko jako piękna dziewczyna, wreszcie Żmuda i Werner dobrze pojęli i z talentem wyrazili charakter spektaklu i intencje reżysera. Lecz całość zespołu zyskałaby jeszcze na podwyższeniu techniczno - tanecznego poziomu.

Dekoracje Stopki są dobre i nastrojowe, stroje pomysłowe, choć uważam, że nadmiar szczegółów przecina linię ciał, przez co potęguje trudności tancerzy. Nie wiadomo co jest gestem ciała, a co bujaniem nagromadzonych sznurów i ozdób. Większe skontrastowanie scen jasnych i ciemnych, zwłaszcza rozjaśnienie niektórych, dyskretniejsze operowanie ostrymi fioletami, zielenią i niebieskim światłem ożywiłoby całość. Wreszcie szczegół — sam kwiat poproci, o którego posiadanie rozbijają się wszyscy przez 3 akty, wygląda jak dekoracja tortu. (Widziałem gdzieś taką „Melbę à la Souvaroff"). Podkreślam jednak, że uwagi te czynię jedynie na marginesie wspaniałych osiągnięć Stopki i Kaplińskiego.

Zygmunt Latoszewski miał szczególnie trudne zadanie w ciasnej zapadni, w której musiała się pomieścić jego orkiestra. Teatr Polski nie jest obliczony na tego rodzaju produkcje muzyczne, czekamy dopiero na gmach dla opery stołecznej i oby nie za długo tego czekania! Ze zbyt małą ilością skrzypków, altowiolistów, wiolonczelistów i kontrabasistów wykonanie każdej partytury, obliczonej na pełne brzmienie kwintetu smyczkowego, musi znacznie ucierpieć. Braki te uzupełniał Latoszewski starannym opracowaniem dzieła, którego głośną cechą jest wielka płynność muzyki. Jest to zasługa kompozytora, który pomysłowo i z fantazją łączy poszczególne części i wie, że pauza może je równie dobrze łączyć jak i rozgraniczać.

Ładnym pomysłem jest wstawienie poetycznego nokturnu na początku trzeciego obrazu. Odśpiewała go Zofia Chwoyka - Charłampowicz. Nocturn ten jeszcze bardziej podkreśla widowiskowo-sceniczny, teatralny charakter „Swantewita".

Publiczność, wypełniająca szczelnie widownię na każdym przedstawieniu, coraz więcej dowodzi, że balet jest formą, która wybitnie przyciąga słuchaczy. Obserwowałem to również na przedstawieniu „Carmen", gdzie balet w czwartym akcie był śledzony z zapartym oddechem i oklaskiwany ze szczególnym entuzjazmem. Na „Swantewicie" podobnie. Owacja na cześć autora i wykonawców była żywiołowa. Dowodzi to, że poprzez muzykę baletową przyciągnąć możemy publiczność do całej muzyki i, że warto stworzyć zespoły o najwyższym poziomie nie tylko choreograficznym, lecz i muzycznym.

Po „Swantewicie" — „Bagatela", scena baletowa na tle muzyki Jana Straussa, wypadła i nieco blado i nie dosyć precyzyjnie. Niezła dekoracja i banalne, pod groteskę robione kostiumy (W. Gawęckiego i St. Janasika), nie dosyć dowcipne i wymustrowane amorki i aniołki, wreszcie nie dosyć wiedeński walc, gdy wypada go zatańczyć, a za mało artystyczny, gdy usiłuje stworzyć jakąś programową sugestię sprawiają, że widowisko to dalekie jest od poziomu poprzedzającej je kreacji. W formie obecnej, uwodzi publiczność „czarem walca", lecz przede wszystkim powodzenie to zawdzięcza geniuszowi ostatniego bodaj na kontynencie europejskim wielkiego twórcy tak zwanej „lekkiej muzyki".

Próba baletu

Zygmunt Mycielski

rysunki **Andrzeja Stopki**

KRONIKA FRANCUSKA

FESTIVALE MUZYCZNE NA PROWINCJI

Dwa „wakacyjne" miesiące letnie, to jedyny w roku okres, gdy Paryż przestaje być centrum muzycznym. Wielkie „festivale" (cykle specjalnie zorganizowanych koncertów odbywają się na prowincji, więc pokazy operowe i oratoryjne w arenach rzymskich w Nimes, seria koncertów bachowskich w Strasburgu, Aix, itd. Zwyczaj tych „muzycznych świąt prowincjonalnych" ustalił się w okresie po pierwszej Wielkiej Wojnie, kiedy władze oświatowe francuskie zaczęły planowo zasilać życie kulturalne departamentów, w obawie, że centralizacja paryska, tak typowa dla kultury francuskiej, zadławi ośrodki intelektualne reszty kraju. Już przecie Montaigne nazywał Francję „krajem jednej stolicy", i przyrównywał ją do Grecji, której cywilizacja również skupiła się w Atenach. Właśnie Niemcy — a także USA — są przykładem innej zasady organizacji kultury, gdzie życie intelektualne nie tylko nie zmierza ku stolicy, ale przeciwnie, unika jej celowo, i ośrodkami sławniejszymi od Berlina były Monachium Norymberga, Wiedeń, a nawet Praga czeska, w której zainstalowała się szkoła „mistycznych" pisarzy niemieckich (Ewers, Meyrinck, a ostatnio Kafka).

Właśnie na niemieckim wzorze „festspielhausów" takich jak Bayreuth, poświęcony kultowi muzyki wagnerowskiej, czy Salzburg, gdzie arystokracja Europy z familiami Hohenzollernów i Bourbon-Parma na czele, zjeżdżała co roku na trzytygodniowy „muzyczny życiorys Mozarta", ilustrowany wszystkimi jego, kolejno granymi kompozycjami — właśnie naśladownictwem tych imprez są festivale francuskie specjalnie aranżowane z pomocą państwa i gmin miejscowych, ale z rezultatem bardzo miernym. Pomysł sztucznego „święta sztuki" jest obcy tradycji francuskiej, z gruntu demokratycznej i centralistycznej. Festivale niemieckie, dostępne dla oligarchii rodowej i przemysłowej, były przecież typowymi produkcjami sztuki klasowej, zaś partykularyzm cywilizacji niemieckiej stąd pochodził, że grupy arystokratyczne w poszczególnych państewkach zabawiały się sztuką; tak powstawała miejscowa tradycja, przechodząca z pokolenia na pokolenie (misteria w Oberamergau, teatr księcia Meiningen itd.).

Z festivalów francuskich jedynie doroczny pokaz Mozarta w Aix-en-Provence zdołał sobie wyrobić klientelę — jakkolwiek pozostał obchodem sztucznym, „kurortowym". Jednak urok miasta, jednego z najpiękniejszych we Francji w rozplanowaniu ulic, nazywanego „miniaturowym Paryżem", ozdobionego setką placyków renesansowych i sławnymi fontannami, stanowi wyjątkowe tło dla klasycznej muzyki mozartowskiej, wykonywanej w tym roku przez wybitnych wirtuozów, jak Klara Haskil, Hans Rosbaud i i.

Zygmunt Kałużyński

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko .....

Adres .....

.....

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem:
Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia".

Korespondencja

Od dysproporcji kulturalnych do literatury w Urugwaju

Do redaktora „Odrodzenia"

W nrze 30 „Dziennika Literackiego" ukazał się artykuł p. Michała Rusinka, znanego powieściopisarza, pt. „Osiem goli i Figaro". Autor, występując słusznie przeciw dysproporcjom kulturalnym uwydatniającym się m. i. w uprzywilejowaniu sportu na niekorzyść literatury i sztuki, sformułował przesłanki, z których można wysnuć bardzo łatwo wniosek mylny.

Oto wspomniane przesłanki: „Francuzi źle grają w piłkę, ale mają pierwszorzędną literaturę. Natomiast jednymi z najlepszych piłkarzy świata są Urugwajczycy". Wniosek jest zupełnie wyraźny... i fałszywy. Oczywiście trudno wymagać u nas znajomości literatury urugwajskiej nawet w najogólniejszym zarysie, ale musimy się zgodzić z tym, że ostrożność w wydawaniu sądów o kwestiach obcych dla naszych zainteresowań jest bezwzględnie obowiązująca.

Otóż literatura w Urugwaju znajduje się na stosunkowo wysokim poziomie i bynajmniej nie wykazuje objawów zastoju czy upadku. Nie jest o niej wprawdzie głośno w Europie (jak np. o literaturze argentyńskiej), ale w każdym razie znajomość jej przekroczyła już dość dawno granice Ameryki Południowej. Jest to zasługą wybitnych poetów, jak Julio Herrera Reissig (zmarły przed trzydziestu kilku laty), Carlos Sabat Ercasty, Emilio Oribe (największy może dzisiaj liryk południowo-amerykański), Fernan Silva Valdés, Juan Zorrilla de San Martin, autor wspaniałej epopei „Tabare", osnutej na tle życia pierwotnych Indian. Z poetek najbardziej utalentowana jest Juana de Ibarbourrou, którą śmiało można postawić na równi z Gabrielą Mistral, chilijską laureatką Nobla. Poetką urugwajską jest także Luisa Luisi, której matka pochodzi z Polski.

Powieść i nowela w Urugwaju nie pozostają w tyle za poezją. Carlos Reyles (zmarły w r. 1938) jest powieściopisarzem na miarę najwybitniejszych talentów europejskich. Warto przełożyć przynajmniej jedną z jego powieści np. „El embrujo de Sevilla". Horacio Quiroga uchodzi za twórcę najlepszych nowel opisujących przyrodę amerykańską i związane z nią życie Indian. Dużą wartość posiadają również powieści i opowiadania, których autorami są A. Montiel Ballesteros, Francisco Espinola, Justino Zavala Muniz, Juan Morosoli i inni. Chlubą piśmiennictwa nie tylko urugwajskiego, ale całej Ameryki Łacińskiej jest Jose Enrique Rodo (1872—1917), filozof-moralista, krytyk, wychowawca narodu, którego dzieła, szczególnie „Ariel", są przetłumaczone na kilka języków.

Zainteresowanie literaturami południowo-amerykańskimi u nas ogranicza się dotychczas do przekładu czterech powieści argentyńskich H. Wasta. „Zdobywców Nowego Świata" R. Blanca Fombony (z Wenezueli) i wybranych nowel V. Garcii Calderona (z Peru).

Po wojnie ukazało się kilka wierszy poety chilijskiego Pabla Nerudy w tłumaczeniu Czesława Miłosza.

Nic więc dziwnego, że literatura urugwajska stanowi dla nas jeszcze bardzo mgliste pojęcie.

Stanisław Pazurkiewicz

Stolec germańskiego władcy

Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 31 (192) „Odrodzenia" p. W. Rogowicz w notatce p.t. „Trzech Achillesów w Achillejonie" opisuje, jako godną widzenia osobliwość b. rezydencji ex-kajzera Wilhelma na Korfu, stołek przy biurku, który zamiast zwykłego siedzenia miał przytwierdzone siodło skórzane. Kończy swą notatkę p. Rogowicz słowami: „Refleksje pozostawiam czytelnikom wraz z prośbą, by mi uwierzyli, że ten niesłychany sedes poczdamskiego Achillesa nie jest moim wymysłem" itd.

Przyznaję, że uwierzyć w to przyszło mi bez trudu, na Korfu wprawdzie nie byłem, ale taki sam „kawaleryjski" taboret oglądałem przed laty w zamku w Poznaniu, który to zamek jak wiadomo — wybudowano na kilka lat przed pierwszą wojną światową, jako widomy symbol pruskiego panowania i rezydencję cesarską, gdzie zatrzymywał się Wilhelm, odwiedzając „Provinz Posen".

Każdy ze zwiedzających zamek mógł zobaczyć w skromnym „gabinecie pracy" kajzera owego zastępczego konika (bez biegunów lecz na śrubie), którego dosiadał.

Trawestując Norwida, można by rzec, że ostatni cesarz niemiecki był tym, „który dyktował z konia, choć przy biurze". Wprawdzie „koń" był drewniany, a jeździec... nie był jednak lepszym od Cesara historykiem.

Zapewne w umyśle koronowanego kabotyna, który teatralizował drobne szczegóły codziennego życia, używanie takiego stolca miało symbolizować zrośnięcie się bojowego władcy Germanów z kulbaką. Można też wyciągnąć wniosek — a raczej domysły snuć — że poza Korfu i Poznaniem i inne rezydencje cesarskie posiadały tego rodzaju osobliwe umeblowanie. Odbiera to co prawda „Achillejonowi" cechę wyjątkowości, ale ciekawsze rzuca światło na psychikę „Wilusia", jako objaw wyraźnej manii.

Władysław Jerzy Kasiński
(Milanówek)

ORYGINAŁ LISTU Alberta Einsteina

July 6th,1948

French-Polish Organizing Committee
for the
Intellectuals World Congress for Peace
Ul.Daszynskiego 14
Warsaw,Poland

Gentlemen:

I much appreciate your kindness in calling my attention to your project to assemble in Poland an international congress of scholars sometime in the near future. I have noted with great interest that the congress is to discuss the promotion of a true and genuine peace.

What is particularly important in these days of political hypertension, is to consider and appraise our problems in an historical and philosophical perspective. We must have the courage to discuss problems of great actuality without losing ourselves in the petty political controversies of everyday life. History has taught us that brute fighting has never been able to lead to stable conditions and to a satisfactory basis for the solution of our real problems. This is particularly true now since war, in our own times, would mean unpredictable destruction in proportions unknown heretofore. In order to escape this terrifying danger, we must overcome unlimited national egoism and must not think in terms of brutal physical power.

I hope with all my heart that you will succeed in assembling open-minded personalities with real courage for your important gathering. I also hope that those in power in all countries will support your efforts since men will gain mutual confidence only when they strive for an objective understanding and appreciation of the developments around them.

Yours very sincerely,

A. Einstein

Albert Einstein.

List, który Einstein nadesłał na Wrocławski Kongres Intelektualistów

Witold Rowicki — jeden z czołowych kapelmistrzów polskich, twórca i stały dyrygent Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia 27 sierpnia dyrygował we Wrocławiu koncertem symfonicznym muzyki polskiej zorganizowanym w ramach Światowego Kongresu Intelektualistów

Rysunki Stefana Brzozowskiego

Laurenty **(Zwaszkiewicz)**

PRZEDPŁATA NA NARODOWE WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA

trwa do dnia 15 października br.

»Odrodzenie« Prosimy wypełniać czytelnie

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza (4 tomy — 1700 stron—całość twórczości poetyckiej). Należność w sumie 800 zł. zobowiązuję się wpłacić na konto PKO Nr I-7474 jednorazowo, albo w ratach (nie mniejszych niż 200 zł.) najpóźniej do dnia 15-go października 1948 r.

(Nazwisko) (Miejscowość)

(Imię) (Ulica, Nr. domu)

(Zawód) (Poczta, Powiat)

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem Warszawa ul Daszyńskiego 14, »Czytelnik«, Instytut Wydawniczy W 795-1

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

JELENIA GÓRA I GÓRY...

W Jeleniogórskim „Słowie Polskim" czytamy:

LONDYN, (osbl. wł.). — Pochodnia olimpijska, zapalona 12 dni temu na górze Scopus w Grecji i przywieziona z Francji na pokładzie krążownika „Bichester" do W. Brytanii, zgasła na ziemi angielskiej.

Łatwo przenieść pochodnię... Dużo trudniej było przenieść górę Scopus z Palestyny do Grecji, ale i tego dokonała dzielna „obsługa własna".

EGIPSKIE CIEMNOŚCI

„Przegląd Sportowy" donosi:

SPRYTNI EGIPCJANIE

Egipcjanie nie są tacy naiwni, na jakich wyglądają. W turnieju piłki wodnej założyli po przegranym z Egiptem spotkaniu protest, który został załatwiony przychylnie przez komisję odwoławczą. Tymczasem Egipcjanie szlachetnym gestem zrezygnowali z powtórzenia meczu i odwołali protest. Czy był to rzeczywiście sportowy gest?

Oczywiście, takie „sportowe gesty" spotykamy często w kraju przy weryfikacji rozrywek.

Cała tajemnica jest następująca: Egipt przegrał z Węgrami 2:4, później zremisował z W. Brytanią 3:3. W grupie tej są tylko 3 drużyny, a do następnej serii rozgrywek wchodzą dwie pierwsze.

Anglia przegra na pewno z Egiptem w wyższym stosunku niż my, pomyśleli sobie Egipcjanie, a nasz powtórzony mecz z Egiptem może zakończyć się większą niż 2:4 porażką. Odwołujemy protest.

Protest odwołali, Anglia przegrała rzeczywiście wyżej, bo 2:11, Egipcjanie weszli do 2-ej rundy.

Nie wiemy, co „pomyśleli sobie Egipcjanie", ale wiemy, że autor wzmianki nie pomyślał sobie wcale. A czasem trzeba...

TRAMTADARAAA!!!

Pisaliśmy już niejednokrotnie o niebezpiecznym i nagminnym już zwyczaju zanużania konkretnych spraw w mętną wodę frazesu. Gorzej, jeżeli zwyczaj taki wkrada się na szpalty tak specjalnego i zawodowego pisma, jakim bez wątpienia winien być „Przegląd pocztowy", wydawany przez Ośrodek Szkolnictwa Pocztowo - Telekomunikacyjnego. Dla przykładu kilka zdań z artykułu ob. Stefana Giergielewicza:

Należy stworzyć nowy, socjalistyczny stosunek do pracy, oparty na wysiłku mas, w zrozumieniu potrzeby rozwoju współzawodnictwa pracy, racjonalizacji i oszczędności własnej.

Wstępem do rozwiązywania tych założeń na poczcie staje się odcinek druków, dlatego też stosunek całej społeczności pocztowej do wydanego okólnika winien być jak najbardziej lojalny i bezpośredni.

i:

Jesteśmy społeczeństwem czynu i walki. W ciężkim trudzie z wiarą w celowość wysiłku robotnik, chłop i inteligent pracujący wykuwa masom pracującym Polski drogę do lepszego jutra.

Podjęty wysiłek da szybkie osiągnięcie zamierzonych planów tylko wówczas, gdy rzucimy do akcji wszystkie, będące w dyspozycji państwa środki. Brak nam maszyn, środków chemicznych, narzędzi, surowców.

Niepozorny znaczek pocztowy może stać się jednym z ważnych środków realizacji zamierzeń państwa poprzez skierowanie do jego kas tak potrzebnych nam dewiz. W tym ujęciu należy sobie życzyć, by realizm tak zdecydowanie cechujący nasze życie polityczne i gospodarcze został rozciągnięty i na odcinek znaczka pocztowego.

albo:

W dobie dzisiejszej, kiedy świat cały podzielił się na dwa obozy, kiedy kapitalizm światowy wypowiedział śmiertelną walkę człowiekowi pracy, bronionemu przez państwa demokracji ludowej i socjalizm, rola znaczka pocztowego nabiera specjalnego znaczenia.

W dobie dzisiejszej kiedy papiernie, drukarnie i fabryki farby drukarskiej są upaństwowione i należą do narodu, który wydał śmiertelną walkę wszelkim marnotrawcom mienia narodowego, rola „wodolejów" nabiera ścisłego znaczenia. Jest to rola szkodliwa s p o ł e c z n i e.

BUJDA!

Ob. „Z. M." dzieli się na łamach „Dziennika Łódzkiego" wrażeniami z pobytu w Rzymie:

W początkach 1940 r. byłem w Rzymie na prawach azylu. Błądziłem po Akropolu, po Forum Romanum. Spacerowałem na Via Appia, wiodącej do starożytnego portu rzymskiego Ostii. Dłuższy czas spędzałem wśród dobrze jeszcze zakonserwowanego amfiteatru cyrku Nerona.

Wałęsałem się po najpiękniejszym parku rzymskim Pincio, położonym na jednym z legendarnych „ośmiu wzgórz Rzymu".

Skądinąd wiemy, że:

1) W Rzymie nie ma „Akropolu". Jest natomiast Capitol.
2) nie ma „amfiteatru cyrku Nerona". Są tam ruiny „circus Maximus" (budowli prostokątnej) oraz „Colosseum" (budowli owalnej), żadne z nich nie ma kształtów amfiteatralnych (jak np.: teatr Dionizosa pod Akropolem w Atenach).
3) Via Appia nie wiedzie do „Ostii", ani nawet do Ostii, lecz w głąb półwyspu, na południe (do Albano). Do Ostii wiedzie i wiodła za czasów rzymskich via Ostiensis.
4) Rzym położony był nie na „siedmiu" wzgórzach lecz na siedmiu: Mons Palatinus, Capitolinus, Quirinalis, Caelius, Aventinus, Esquilinus i Viminalis. Obecne monte Pincio leżało w rzymskich czasach za miastem.
5) Ob. „Z. M." źle skorzystał z azylu udzielonego mu w Rzymie w 1940 r.
6) Ob. „Z. M." źle skorzystał z azylu udzielonego mu w „Dzienniku Łódzkim" w 1948 r.

PRZESADA

W „Expressie Wieczornym" czytamy:

Po południu na placu Bohaterów odbyło się zgromadzenie ludowe, manifestujące na cześć zjednoczenia partii robotniczych. Liczba zgromadzonych dosięgła 400 tys. osób, co stanowi większość dorosłej ludności Węgier.

Reszta Węgrów to dzieci...

W poprzednim 35 (196) numerze „Odrodzenia" z dnia 29 sierpnia 1948 roku: **Henryk Dembiński:** Dwa humanitaryzmy; Demokracja przemyślana do dna. — 1932 — 1936 — 1948. — **Halina Górska:** Pisarz i masy. — **Stefan Jędrychowski:** Perspektywy pokoju. — Rezolucja zjazdu pracowników kultury. — Z odezw Komunistycznej Partii Polski. — **K. I. Gałczyński:** Requiem? — **Maria Dąbrowska:** Praca pisarza. — **Jerzy Zawieyski:** Nadzieja świata. — **Leon Kruczkowski:** Kongres sprzeciwiania się złu. — **Henri Barbusse:** Ku nowemu humanizmowi. — **Ernesto Dethorey:** List otwarty na kongres PEN-Clubów. — **Pablo Neruda:** Do Madrytu przybywa brygada międzynarodowa (przełożyła **Zofia Szleyen**). — **Pola Gojawiczyńska:** Zmiany w życiu. — **Aleksander Fadiejew:** Genialny krytyk literacki. — **Konstanty Simonow:** Z cyklu: „Z tobą i bez ciebie" (przełożyła **Melania Kiereczyńska**). — Za porozumieniem. — **Jan Dembowski:** W obronie pokoju. — **Stanisław Lorentz:** Kongres w obronie kultury. — Pierwszy Zjazd Pracowników Kultury. — **Juliusz Kleiner:** W oczekiwaniu edycji narodowej dzieł Mickiewicza. — **ec:** Zgon znanego krytyka Kazimierza Czachowskiego. — Film: **Jerzy Flażewski:** „Bolero" — film francuski. — Książki: Kalendarz literacki: („Almanach Literacki Oddziału Wiejskiego ZZLP" — Stefan Flukowski); Nauka: „Socjologia" Jana St. Bystronia — Wiktor Woroszylski). — **Artur Marya Swinarski:** Teatr na lekarstwo. — Korespondencja: **Paweł Ettinger:** W sprawie wymowy nazwisk rosyjskich. — Polski film nagrodzony. — Opera Poznańska w Warszawie. — **Seweryn Goszczyński:** Zegar i poeci. — Camera obscura. — 39 ilustracji. — 8 stron.

ZARZĄD MIASTA BRZEG OGŁASZA KONKURS

na popularny utwór sceniczny, wyłącznie przeznaczony na plener

Utwór sceniczny będzie wystawiony w miejscowym Amfiteatrze.

Temat utworu (dramat, komedia) dotyczyć winien dziejów Polski, ze szczególnym uwzględnieniem okresów walki o demokrację z nawiązaniem do teraźniejszości.

Forma dowolna (proza, wiersz).

Prace podpisane godłem należy przesyłać w kopercie wewnątrz której powinna znajdować się druga zaklejona koperta, opatrzona tym samym godłem, zawierająca kartkę z nazwiskiem i imieniem autora, oraz jego adresem.

WARUNKI KONKURSU: **I nagroda 60 000— zł II nagroda 40 000— zł**

1) Nagrodzone utwory stają się własnością Zarządu Miasta Brzeg
2) Jury konkursowe składać się będzie z przedstawicieli WZ. ZZLP, członków prezydium miasta Brzegu przedstawicieli Pow. Radu Zw. Zaw.
3) Termin nadsyłania prac do 15 stycznia 1948 r. — Adres: Zarząd Miasta Brzeg »Konkurs dramatyczny«.
4) Wyniki konkursu zostaną podane najpóźniej do końca lutego 1949 r.

PREZYDENT m. BRZEGU
(—) Feliks Boberski

K. 41-1

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO nr I-4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-5639 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"